

II 610.590

ARTUR CONAN-DOYLE. ✓

WIDMO PRZESZŁOŚCI



WILNO
NAKŁADEM „KURJERA LITEWSKIEGO“
1910



№ 610.590

Druk Józefa Zawadzkiego w Wilnie.

st. zas.

I.

Rodzina West z Edynburga.

Nazywam się John Fatterjeal West, jestem słuchaczem wydziału prawnego w St. Andrews i pragnąłbym w treściwej formie podać do publicznej wiadomości moje zeznania.

Nie gonię za sławą literacką, nie pragnę bynajmniej czarem mego słowa i artyzmem opowiadania rzucać jeszcze głębszego cienia na to niezwykle wydarzenie, o którym mam opowiedzieć.

Chcę przedewszystkiem, aby ludzie, wiedzący coś nie coś o tej sprawie, przeczytawszy moje sprawozdanie, mogli świadomie i w dobrej wierze osądzić je, nie znajdując w mojem opowiadaniu najmniejszego nawet rozminięcia się z prawdą.

Osiągnąwszy ten cel, będę mógł spokojnie spocząć, zupełnie zadowolony z rezultatu mojej pierwszej i, prawdopodobnie, ostatniej próby na polu literackiem.

Pierwotnie chciałem jedno za drugim, w należytem porządku, opisać wszystkie wydarzenia,

opowiadając o tem, co się działo w mojej obecności i cytując wiarogodne zeznania świadków o tych wypadkach, przy których sam nie byłem obecny. Jednak, dzięki współdziałaniu moich przyjaciół, ułożyłem inny plan, wprawdzie, zyska on mniej uznania dla mnie, da jednak więcej zadowolenia czytelnikom.

Pragnę przytoczyć rozmaite rękopisy, znajdujące się w mem posiadaniu, a dotyczące tej sprawy; zaliczam do nich przedewszystkiem zeznania osób, dobrze znających generała Levis'a.

A zatem, przedstawię czytelnikom zeznania Izraela Stacksa w Cloomber-Hall, oraz Johna Esterlinga, lekarza. Przyłączę do tego urywki z dziennika nieboszczyka Johna Bertier Levis'a, dotyczące wypadków, jakie miały miejsce w dolinie Thul, w jesieni 1841 roku, mniej więcej przy końcu pierwszej wojny w Afganistanie, z opisem potyczki w wąwozie Therada i śmierci Hulab Szacha.

Biorę na siebie obowiązek wypełnienia wszystkich luk i niedomówień. Tym sposobem więc zrzekam się tytułu autora, stając się jedynie pospolitym kompilatorem. Praca moja przestaje być opowiadaniem historyczno-kronikarskiem i zamienia się w serję zeznań naocznych świadków.

Ojciec mój, John Hunter West, był znanym uczonym, zajmującym się literaturą wschodnią, jakoteż sanskrycką; dotychczas cenią go wszyscy, którzy interesują się tym przedmiotem. On pierwszy, po Wiliamie Johnsie, zwrócił uwagę na wiel-

kie znaczenie literatury perskiej, a jego przekłady utworów Hawiza i Ferid-Eddina Atara zyskały mu gorące pochwały barona von Hammer z Wiednia i innych znanych krytyków Kontynentu.

W styczniowym zeszycie „Przeglądu nauk wschodnich“ za rok 1861, nazywają go „znakomitym i nader uczonym Westem z Edynburga“; doskonale pamiętam, jak ojciec wyciął tę wzmiankę z pisma i z łatwo zrozumiałą dumą schował wycinek pomiędzy najważniejsze dokumenta rodzinne.

Ojciec był ukończonym prawnikiem, zajęcia jednak naukowe pochłaniały go do tego stopnia, że praktyki całkowicie prawie zaniechał.

Gdy klienci zjawiali się w mieszkaniu przy Georges-Street, okazywało się zazwyczaj, że ojciec zatopiony jest całkowicie w odczytywaniu jakiegoś dokumentu, lub też zapleśniałego manuskryptu, a myśli jego zajęte są więcej kodeksem, wydanym przez Manu na sześćset lat przed Narodzeniem Chrystusa, aniżeli zawiłymi problemami prawodawstwa szkockiego z dziewiętnastego wieku. Nic więc dziwnego, że w miarę tego, jak praca naukowa mojego ojca postępowała naprzód, klienci jego rozpraszali się, tak, że w chwili, gdy osiągnął zenitu swej sławy, pod względem materialnym, znalazł się w smutnem ze wszech miar położeniu tureckiego świętego.

W żadnym z uniwersytetów jego ojczyzny nie było katedry literatury sanskryckiej, nigdzie też

nie objawiano najmniejszej podaży na jedyny w swym rodzaju towar umysłowy, jaki ojciec mój mógł społeczeństwu zaofiarować; bylibyśmy też zmuszeni zapoznać się z dotkliwą nędzą, pocieszając się aforyzmami i przepisami życia Firdusiego, Omara, Khajama i innych pisarzy — wschodnich ulubieńców ojca, gdyby nie pomoc, okazana nam przez jego dalekiego kuzyna, Wiliama lorda Brinksome z hrabstwa Wichtowne.

Lord Wiliam Brinksome posiadał wprawdzie wielkie obszary ziemi, nieurodzajne wszakże i mało skutkiem tego przynoszące dochodu; a jednak, prowadząc nader skromny tryb życia, lord Wiliam robił nawet oszczędności.

Podczas naszego względnego dobrobytu, mało słyszeliśmy o nim; w tym samym jednak czasie, gdy nasze warunki materialne zmieniły się na gorsze, nadszedł od lorda list, dający nam dowód jego sympatji, oraz możliwość poprawienia naszego smutnego położenia. Lord pisał, że od pewnego czasu zasłabł na płuca i doktor Esterling poradził mu ostatnie lata przebyć w łagodniejszym klimacie. Skutkiem tego postanowił udać się na południe Włoch i zapraszał nas na czas swej nieobecności do zamieszkania w Brinksome, pod warunkiem, aby ojciec mój objął zarząd jego dóbr i otrzymywał za to wynagrodzenie. Pensja, którą lord mu wyznaczył, zapewniała nam tymczasem życie bez troski.

W owym czasie matka nasza od lat już paru nie żyła, rodzina zaś nasza składała się tylko ze

mnie, mego ojca i siostry mojej, Estery. Oczywiście, naradzaliśmy się niedługo i wkrótce zgodziliśmy się przyjąć wspaniałomyślną propozycję lorda. Tegoż wieczoru ojciec udał się do Wichtowne; Estera zaś i ja pojechaliśmy tam w kilka dni potem, wzięwszy ze sobą dwa worki uczonych książek i te z naszych rzeczy, które opłacało się przewieść na nową siedzibę.

II.

W Cloomber zjawia się dziwny mieszkaniec.

W porównaniu z rezydencjami innych magnatów angielskich, Brinksome mógł się wydawać dosyć ubogą siedzibą; dla nas jednak, którzy przez tak długi czas zamieszkivaliśmy duszne i ciasne mieszkania, był on cudownym, wspaniałym pałacem.

Dom był szeroki, niski, kryty czerwoną dachówką z mnóstwem olbrzymich pokoi, o zakopconych sufitach i ścianach, wyłożonych dębową boazerją. Przed domem roztaczał się stary, zapuszczony park, z niewielkim stawem, okolonym płaczącymi brzoźami, z tyłu zaś, w niewielkiej odległości, widniała wioska Brinksome-Beer, składająca się z kilkunastu chat i po większej części zamieszkała przez rybaków. Na zachód od domu widniał żółty, piaszczysty brzeg morza Irlandzkiego, we wszystkich zaś innych kierunkach ciągnęły się, dziwnym smutkiem owiane, niziny, z początku szaro-zielone, potem coraz bledsze, wreszcie całkiem liljowe. Pustka i samotność stanowiły

wybitną cechę tej okolicy. Można było przejść wiele mil, nie spotkawszy ani jednej żywej duszy i tylko czasem białe czajki przelatywały z krzykiem, jakby groźne przecucie rozdierającym pełną tajemnic ciszę wybrzeża.

Straciwszy z oczu Brinksome, nie napotykało się nawet śladu pracy ludzkiej; tylko wysoka, biała wieża Cloomber-Hall'u, nakształt pomnika, na jakimś olbrzymim grobie, górowała nad lasem, strzelając dumnie w niebiosa.

Monumentalny ów budynek, odległy mniej więcej o milę od naszej siedziby, został wzniesiony przez pewnego bogatego kupca z Glasgowu, posiadającego oryginalny gust i rozmiłowanego w samotności; w tym czasie jednak, gdyśmy przybyli do Brinksome, od wielu lat nikt go już nie zamieszkiwał. Zamek Cloomber był zupełnie pusty i niezliczone otwory jego okien patrzyły wdal, niby martwe oczy.

Ten opuszczony, zapleśniały dom służył jedynie, jako drogowskaz dla rybaków; z doświadczenia wiedzieli bowiem, że, znajdując się naprzeciw kominów Brinksomu i białej wieży Cloomber, mogli szczęśliwie ominąć niebezpieczne rafy podwodne, często ukryte pod wysokimi falami rozszalałego morza.

Oto do jakiej więc miejscowości zmienny los zagnał mego ojca, siostrę moją i mnie. Samotność nie przestraszała nas. Po gorączkowym ruchu i gwarze wielkiego miasta, po wyczerpujących wysiłkach, by żyć przyzwoicie z niewielkiego docho-

du, odetchnęliśmy swobodnie pośród jasności szerokiego horyzontu, napawając się świeżem, ożywczem powietrzem. Tutaj przynajmniej byliśmy wolni od ciekawych sąsiadów, którzy nas podpatrywali i obmawiali.

Lord oddał nam do rozporządzenia swój powóz i parę koni; tak więc ojciec mój i ja mogliśmy bez trudu objeżdżać majątek, sprawując niezbyt zresztą uciążliwe obowiązki zarządzającego; mała Estera prowadziła gospodarstwo, obecnością swą rozjaśniając stary, ciemny gmach.

Życie nasze płynęło spokojnie i cicho, aż do chwili, gdy pewnej letniej nocy zaszedł nieoczekiwany, drobny na pozór, wypadek, który później wszakże okazał się zwiastunem dalszych, dziwnych, przerażających wydarzeń.

Wieczorami wypływałem za zwyczaj na morze, aby złowić nieco ryb na kolację. Owego pamiętnego wieczoru siostra moja udała się ze mną; zasiadała z książką na przedzie łódki, ja zaś, pilnując równocześnie steru, zapuściłem wędkę.

Słońce zaszło za brzeg irlandzki, horyzont, pokryty białymi obłokami, gorzał jeszcze ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Ocean zaobarwił się czerwonym blaskiem. Stałem, zapatrzony w dal i z zachwytem przyglądałem się imponującemu widokowi nieba i morza. Nagle siostra schwyła mnie za rękę i z okrzykiem zdumienia wyrzekła:

— Spójrz, Johnie, w Cloomber ukazało się światło!

Odwrociłem głowę i spojrzałem na wznoszącą się ponad drzewami białą wieżę. Przyjrzawszy się dobrze, dostrzegłem istotnie wyraźne, chociaż blade światelko w jednym z okien opuszczonego zamku. Nagle światelko znikło, lecz zjawilo się zaraz w innym, wyższem oknie. Świeciło tam czas jakiś, poczem mignęło w oknach dolnego piętra, wreszcie drzewa zasłoniły je przed naszymi oczyma. Widocznem było, że ktoś, niosący lampę, lub świecę, wszedł na górę, a następnie powrócił na dół.

— Kto tam może chodzić?—zauważyłem, zwracając pytanie raczej ku sobie, niż do Estery, gdyż zdziwienie, malujące się na jej twarzy, mówiło mi, że na to pytanie nie mógłbym od niej otrzymać odpowiedzi. — Może komu z Brinksome przyszło do głowy obejrzeć pustą wieżę?

Siostra moja nie zgadzała się ze mną.

— Nikt nie zdecyduje się przekroczyć bramy parku, — rzekła,—a przytem, klucze przechowywane są u zarządzającego w Wichtowne. Tak więc nikt nie zdołałby dostać się do Cloomber.

Pomyślawszy o ciężkiej, masywnej bramie, broniącej wstępu do Cloomber-Hallu, musiałem siostrze przyznać słuszność. Oczywiście, ten, co o tej porze dostał się do opuszczonego domu, albo otrzymał klucze, albo też wszedł tam podstępem.

Ta mała tajemnica zaintrygowała mię nad wszelki wyraz; dopływając do brzegu, postanowiłem samemu zbadać, kto, i z jakimi zamiarami zdecydował się przekroczyć próg pustego domu. Zo-

stawiwszy więc Esterę w domu, wezwałem Jamsona, byłego majtka wojennego statku, a obecnie jednego z najlepszych rybaków i udałem się do Cloomber. Słońce zatoneło już w morzu i coraz głębszy mrok zalegał ziemię, aż wreszcie ogarnęły nas nieprzeniknione ciemności.

— Nie dobrze jest po nocy chodzić do tego domu, — zauważył mój towarzysz i zaczął iść zwolna, niechętnie; — nie bez przyczyny zamek stoi pusty, a nawet sam właściciel nigdy nie podchodzi tu bliżej, jak na odległość mili.

— A jednak, mimo to, ktoś nie zawahał się wejść tam, — rzekłem, wskazując ręką na wielki budynek, bielejący przed nami.

Światło, które widziałem z morza, poruszało się jeszcze, migając przez okna dolnego piętra; łatwo je było dostrzedz, okiennice bowiem były otwarte. Teraz zauważyłem, że drugie, słabsze światełko poruszało się o kilka kroków za pierwszym. Widocznie było tu dwóch ludzi, jeden z lampą, drugi ze świecą.

— A niech tam, — rzekł Jamson, zatrzymując się nagle. — Co nam do tego, jeżeli złe duchy lub też inne twory nieczyste zamyśliły odwiedzić Cloomber. Niedobrze jest wtrącać się w takie sprawy.

— Ależ, — zawołałem, — czyż sądzicie, że złe duchy przyjeżdżałyby w powozie? Popatrz no, cóż to za dwa światełka widać tam u wrót parku?

— A prawda, przecież to latarnie powozowe, — zauważył mój towarzysz, raźniejszym już

głosem. — Chodźmy, mr. West, zobaczymy, co się tam dzieje.

Było już zupełnie ciemno; na zachodzie jedynie widoczna była blada jasność, zaledwie odbijająca się od ciemnego nieba. Potykając się na nierównym gruncie, doszliśmy do kamiennych słupów, stojących przy wjeździe do alei. Przy bramie stał wysoki kocz; koń skubał trawę, rosnącą na brzegu drogi.

— Ależ ja go doskonale znam—zawołał Jamson, — obejrzawszy pusty ekwipaż. — To powóz mr. Mac-Neyle'a, rządcy z Wichtowne, tego samego, który ma klucze od zamku.

— Kiedyśmy tu przyszli, możemy z nim pomówić, — odpowiedziałem. — O ile się nie mylę, schodzą właśnie na dół.

W tej chwili usłyszeliśmy skrzypnięcie ciężkich drzwi, a w jakiś czas potem zjawiły się dwie postacie, jedna wysoka, chuda i koścista, druga zaś mała i gruba; zbliżały się one do nas w ciemności. Ludzie ci rozmawiali z takim ożywieniem, iż spostrzegli nas dopiero, znalazłszy się za bramą.

— Dobry wieczór mr. Mac-Neyle, — rzekłem zwracając się do rządcy, którego znałem z widzenia.

Mały człowieczek zwrócił się ku mnie, co było dowodem, iż nie pomyliłem się w adresie; wysoki towarzysz odskoczył w tył z oznakami silnego wzburzenia.

— Co to jest, Mac-Neyle, — zawołał głosem



drżącym i przerywanym. — Tak to pan spełniasz swoje obietnice? Co to ma znaczyć?

— Nie przestraszaj się pan, generale, nie przestraszaj, — rzekł mały, gruby rządcą, tym uspokajającym tonem, jakim się przemawia do przestraszonych dzieci. — To młody mr. Fetterjeal West z Brinksome, jakkolwiek w żaden sposób nie mogę zrozumieć, co go skłoniło przyjść tutaj i to o tej porze. Ale, że będziecie panowie sąsiadami, korzystam ze sposobności, aby panów ze sobą zapoznać. Mr. West, — oto generał Levis, który zamierza wynająć Cloomber-Hall.

Wyciągnąłem rękę do wysokiego człowieka, który podał mi swoją niezdecydowanie i jakby bez chęci.

— Przyszedłem tu, — odezwałem się, — dojrzałem bowiem z morza światło w oknach i wyobraziłem sobie, że zaszedł tutaj jakiś wypadek. Bardzo się cieszę, że postąpiłem tak, gdyż dało mi to sposobność poznania się z generałem.

Mówiąc to, zauważyłem, że nowy mieszkaniec Cloomber'u przyglądał mi się w ciemnościach nader uważnie. Gdy zamilkłem, generał wyciągnął swą długą, drżącą rękę i zwrócił w moją stronę latarnię powozową. Nagle potok jasnego światła padł prosto na moją twarz.

— Wielki Boże, Mac-Neyle, — zawołał tym samym drżącym głosem, — ten młody człowiek twarz ma ciemną, jakby z czekolady. On nie jest Anglikiem, sir?

— Z urodzenia i wychowania jestem szko-

tem, — odpowiedziałem, powstrzymując się ze wszystkich sił od śmiechu.

— Szkot? aha, — rzekł generał z westchnieniem ulgi.

— W obecnych czasach, to wszystko jedno. Wybacz pan, mr.... mr. West. Jestem nerwowy, szalenie nerwowy. Jedźmy, Mac-Neyle. Powinniśmy być w Wichtowne nie później jak za godzinę. Do miłego widzenia, dobranoc.

Siedli w kocz; gruby rządcą trzasnął z bicia i wysoki ekwipaż zaturkotał w ciemności, rozlewając jasny blask żółtych promieni po obu stronach drogi, aż w końcu wszystko w oddali umilkło.

— Co powiecie o naszym nowym sąsiedzie, Jamson? — zapytałem swego towarzysza, przerywając długie milczenie.

— Zdaje mi się, mr. West, że jest on rzeczywiście niezwykle nerwowy, a może jego sumienie niezupełnie jest wporządku.

— Raczej wątroba, — zauważyłem. — To widoczne, że organizm jego jest rozstrojony. Ale robi się zimno, Jamson, obu nam czas do domu.

Pożegnałem się z rybakiem i poszedłem w stronę wesołego i jasnego światła, bijącego z okien naszej bawialni w Brinksome.

III

Jak zaznajomiłem się bliżej z generał - majorem Levisem.

Łatwo sobie wyobrazić, do jakiego stopnia niespodziewana wiadomość o wynajęciu i zamieszkaniu Cloomber-Hall'u poruszyła ciekawość bliższej i dalszej okolicy; przez długi czas krążyły najcudaczniejsze wieści o nowym mieszkańcu i o przyczynach, dla których wybrał on na stały pobyt właśnie tę samotną i pęsną część hrabstwa.

Wkrótce jasnym było dla wszystkich, że generał i jego rodzina zamieszkali w Cloomber-Hall na czas dłuższy; dom gruntownie restaurowano z wielkim nakładem, a gdy roboty ukończono, niktby nie poznał dawnego ciemnego i ponurego budynku. Wyglądał, jak nowy.

Kto wie, może generał poświęca się nauce, — rzekł do mnie ojciec, gdyśmy pewnego razu rozmawiali o Levis'ie, — może wybrał to ustronie, by mózł pracować w ciszy i spokoju?

— Być może, że ojciec ma słuszność — odpowiedziałem, — ale podczas naszego pierwszego

spotkania wydało mi się, że generał nie wygląda na człowieka, posiadającego zamiłowanie do literatury, a tembardziej do nauk specjalnych. Sądziłbym raczej, że przyjechał tu dla zupełnego wypoczynku, aby leczyć się na nerwy. Jest niesłychanie rozstrojony; stan jego zdrowia, nawet przy tak krótkim spotkaniu, dał mi wiele do myślenia.

— Czy ma żonę i dzieci? — zapytała Estera.—Biedni, jak oni będą tu osamotnieni. Oprócz nas przecież na siedem mil dokoła niema ani jednej rodziny, z którąby mogli zawiązać bliższą znajomość.

— Generał Levis, to dzielny i zasłużony żołnierz, — zauważył mój ojciec.

— Czy wiesz co o nim, ojczy? — zawołaliśmy równocześnie.

— Ach, moi drodzy, dużo się w życiu słyszało, — odparł ojciec z uśmiechem, biorąc z półki książkę i otwierając ją przed nami. — Oto spis oficerów armji indyjskiej, wydany przed trzema laty, a tu nazwisko tego pana, o którym mówimy. „Levis D. B., kawaler orderu, były pułkownik 41-go Bengalskiego pułku piechoty, przeszedł w stan spoczynku w randze generał-majora. Oblężenie Ghusni, obrona Dżelalabadu, 1848 r.; powstanie w Indjach i uśmierzenie Ouda. Pięć razy wspomniany w raportach“. Zdaje mi się, moi drodzy, iż możemy być dumni z naszego nowego sąsiada.

W dniu, w którym ukończone zostało odnowienie domu, wypadło mi pojechać do Wichtowne; po drodze spotkałem powóz, w którym jechał ge-

nerał Levis i jego rodzina. Obok niego siedziała starsza już kobieta, o twarzy zmęczonej i schorowanej, przednie siedzenie zajmował młody człowiek, mniej więcej w moim wieku, oraz panienska, o dwa lub trzy lata młodsza od niego. Uchyliłem czapki i chciałem przejechać, nie zatrzymując się, generał wszakże kazał woźnicy przystanąć i wyciągnął do mnie rękę.

— Jak się pan ma, mr. Fatterjeal West,—zawołał.

— Muszę przeprosić pana za to, że byłem tego wieczoru nieco za ostry. Pan zapewnością wybaczy staremu żołnierzowi, który lepszą część życia spędził na wojnie. Tem nie mniej przyzna pan, że jak na szkota, jest pan nieco za ciemny.

— Mamy w sobie krew hiszpańską, — odparłem niemało zdziwiony, że generał powraca znowu do tego przedmiotu.

— Ach, to zupełnie wyjaśnia ciemną barwę pańskiej twarzy, — rzekł uspokojony, a zwracając się do żony, dodał. — Pozwól, droga żono, przedstawić sobie mr. Fallerjealla West. A oto mój syn i moja córka. Przyjechaliśmy tutaj odzyskać spokój, zupełny spokój.

— Istotnie, nie mógł pan znaleźć na ten cel lepszego miejsca, — zauważyłem.

— Doprawdy? — zapytał generał.

— Mnie również wydaje się ta okolica nader spokojną i cichą. Sądzę, że można tu wędrować całą noc i nie spotkać żywej duszy. Jak pan sądzi?

— O tak, po zachodzie słońca niełatwo tu kogoś spotkać, — odpowiedziałem.

— I nie niepokoją państwa żadne włóczęgi? Niema tu koczujących cyganów?

— Zaczyna być zimno, — przerwała tę rozmowę mistress Levis, otulając się ciepłą rotundą, a przytem zatrzymujemy mr. Westa.

— Tak, tak, masz słuszość, moja droga. Jedziemy. Do widzenia, mr. West.

Powóz potoczył się w stronę Cloomber, ja zaś zamysłony podążyłem do Wichtowne.

Wjeżdżałem właśnie w ulicę Wysoką, gdy Mac-Neyle wybiegł ze swego kantoru i poprosił, abym się zatrzymał.

— Pańscy nowi sąsiedzi wyjechali już stąd, — rzekł. — Dziś rano udali się do Cloomber-Hall.

— Spotkałem ich przed chwilą, — odpowiedziałem.

— Lubię mieć do czynienia z prawdziwymi gentlemanami, — rzekł śmiejąc się Mac-Neyle. — Oni mnie rozumieją, ja również ich pojmuję. — „Jaką cyfrą mam go wypełnić?“ zapytał mnie generał, wyjąwszy pusty czek z kieszeni i kładąc go na stole. — „Liczba dwustu funtów“, odparłem, pragnąc, aby i mnie dostało się coś za stratę czasu i fatygę. Generał napisał czek i rzucił mi go, jak gdyby była to stara, niepotrzebna koperta. No, i co pan powie o generale, mr. West?

— Zbyt mało go znam, by wyrobić sobie o nim zdanie.

Mac-Neyle postukał znacząco w czoło.

— Oto, co ja o nim myślę, — rzekł tajemniczym głosem. — On jest niespełna rozumu, jestem tego pewien. — A jak pan sądzi, mr. West, jakiby można przytoczyć na to dowód?

— No, naturalnie, zamiar zaofiarowania niewypełnionego czeku administratorowi zamku.

— Pan sobie żartuje. Ale mówiąc tak między nami, przyznaj pan, że jeśli ktoś wypytuje, jak daleko jest z Cloomber do najbliższego fortu, czy przybijają tam okręty ze Wschodu, czy dużo jest włóczęgów w okolicy i czy można wybudować wysoką ścianę z desek dokoła parku, to trudno powziąć o nim inne zdanie.

Nie mając chęci dłużej z nim rozmawiać, pożegnałem się i pojechałem dalej.

Wkrótce przekonaliśmy się, że co do zamiaru generała odgradzenia się od całego świata, Mac-Neyle był dobrze powiadomiony: całe oddziały robotników od rana do wieczora wznosiły wysoką drewnianą ścianę dokoła siedziby generała.

A co dziwniejsze jeszcze, gromadził on w swoim domu olbrzymie zapasy żywności, jakby spodziewał się oblężenia; Bichbey, właściciel największego sklepu kolonialnego, zdumiony i zachwycony, opowiadał mi, że generał zamówił u niego kilkaset tuzinów najrozmaitszych konserwów z mięsa i jarzyn.

Wszystko to wywoływało tysiące rozmaitych zdań i plotek, od których wrzała cała okolica; generał zaś i jego rodzina prowadzili ciche i samotne życie, zupełnie nie oglądając się na to, cokolwiekby mógł ktoś o nich powiedzieć.

Pewnego dnia mój ojciec wszedł do pokoju jadalnego i rzekł do nas tonem zdecydowanym:

— Włóż swą różową suknię, Estero, a i ty John ubierz się w wizytowe ubranie. Pojedziemy odwiedzić mistress Levis i generała.

— Pojedziemy do Cloomber? — zapytała Estera, klaszcząc w dłonie.

— Jestem, — z godnością powiedział mój ojciec, — nietylko zarządzającym majątkiem lorda, ale również jego krewnym. Sądzę, że postąpię w jego myśl, składając wizytę nowym mieszkańcom Cloomber'u i ofiarowując im swoje usługi. Muszą się czuć osamotnieni i pozbawieni przyjaciół.

Wkrótce zajechał powóz i ruszyliśmy ku Cloomber; jakież jednak było nasze zdziwienie, gdy dojechawszy do bramy Cloomber-Hall, ujrzyliśmy na najwidoczniejszym miejscu wysoko zawieszoną deskę z następującym napisem:

„Generał i mistress Levis nie pragną powiększać grona swych znajomych“.

Kilka chwil siedzieliśmy w milczeniu, ze zdumieniem przypatrując się oryginalnemu napisowi. Wreszcie Estera i ja wybuchnęliśmy niepowstrzy-

manym śmiechem; ojciec jednak zacisnął usta, co było u niego niezawodną oznaką złego humoru i gwałtownie zawrócił ku domowi. Byłem pewny, że dręczyła go myśl, iż w jego osobie wyrządzono zniewagę lordowi Brinksome, którego był przedstawicielem.

IV.

Młodzieniec z siwą głową.

Nazajutrz po tem dziwnem zajściu wypadło mi przechodzić przed bramą Cloomber'u i przystanąłem, by popatrzeć na niezwykły napis. Nagle zjawiła się przede mną śliczna dziewczynka i ręką dała mi znak, abym podszedł bliżej.

— Mr. West, — szepnęła, oglądając się ze strachem, — pragnęłabym przeprosić państwa za nieprzyjemność, na jaką zostaliście wczoraj narażeni. Mój brat widział wszystko i zapewniam pana, że jakkolwiek nic na to nie mogliśmy poradzić, było nam jednak niezmiernie przykro.

— O, miss Levis, — powiedziałem, starając się całą rzecz w żart obrócić. — Wielka Brytania jest krajem wolności i jeśli ktoś życzy sobie tego, ma wszelkie prawo uprzedzić ewentualnych gości, aby się mu nie naprzykrzali.

— A jednak, jest to grubijaństwem; gdy pomyślę, że pańska siostra została również obrażona, pragnęłabym zapaść się pod ziemię.

— Nie martw się pani, — rzekłem gorąco. — Jestem pewny, że ojciec pani ma poważne, chociaż

nieznane nam przyczyny, skłaniające go do postępowania w ten sposób.

— O tak, Bóg świadkiem, — odpowiedziała z niewypowiedzianym smutkiem.

W tej chwili z zadrzew ukazał się młody człowiek; gdy stanął obok nas, miss Levis odezwała się.

— Mordownt, w swoim i twojem imieniu przepraszam mr. Westa, za to, co się stało wczoraj.

— Cieszy mię bardzo, iż mogę to uczynić osobiście, — rzekł uprzejmie młodzieniec. — Pragnąłbym również siostrę i ojca zapewnić, jak bardzo zajęcie to było mi niemiłe. Idź do domu, Gabrielo, zaraz podają herbatę. Niech pan nie odchodzi, mr. West, mam panu kilka słów do powiedzenia.

Mis Levis pożegnała mię uśmiechem i wkrótce zniknęła w głębi parku; brat jej zaś otworzył ostrożnie bramę, wyszedł do mnie i znowuż starannie ją zamknął.

— Jeżeli pan nic niema przeciwko temu, z chęcią pana odprowadzę, — rzekł do mnie.

— Bardzo proszę, sprawi mi to prawdziwą przyjemność.

— Muszę panu powiedzieć, że ojciec mój byłby bardzo niezadowolony, gdyby się dowiedział, że wyszedłem poza bramę naszej siedziby. Postanowił on, że nie powinniśmy nikogo widywać... Dziwna to fantazja, bo każdy przecież takby to nazywał... Ja jednak wierzę, że istnieją poważne przy-

czyny, dla których ojciec mój musi w ten sposób postępować.

— A czyż nie mógłby pan od czasu do czasu wychodzić, aby porozmawiać ze mną? Widzi pan ten dom? — to Brinksome.

— Naturalnie, pragnąłbym bardzo odwiedzać państwa od czasu do czasu.

— A siostra pańska? Ona chyba jeszcze bardziej odczuwa brak towarzystwa, — wyrwało mi się mimowoli.

— O tak, biedna Gabrjela, bardzo cierpi nad tem; jeszcze mniej naturalnem wszakże jest, by młody człowiek w moim wieku był trzymany, jak w więzieniu. Spójrz pan na mnie: w marcu skończyłem lat dwadzieścia trzy, a dotychczas noga moja nie powstała ani w uniwersytecie, ani też w żadnym innym zakładzie naukowym; jestem zupełnym ignorantem. Może to panu wydać się dziwne, a jednak to szczerą prawdą. Czyż nie zasługuję na lepszy los?

— Jedne wiadomości otrzymuje się z książek, inne z doświadczenia — rzekłem. — Trudno mi wierzyć, aby życie pana upłynęło w beczynności i w przyjemnościach.

— W przyjemnościach! — zawołał, — a zdejmując kapelusz dodał: — popatrz pan! jak pan sądzi, czy te siwe włosy zjawiły się skutkiem przyjemności?

Istotnie młody człowiek miał włosy gęsto przyprószone siwizną.

— Musiał pan przejść jakieś silne wstrząśnienie.

nia, — rzekłem doń, — lub też jakąś straszną chorobę w dzieciństwie. Znałem również młodych ludzi z takimi samymi siwymi włosami. Jeśli się uda, dodałem zmieniając temat, — zajrzyj pan od czasu do czasu do Brinksome, a może i siostra pana będzie mogła nas odwiedzić.

— Trudno nam będzie wyjść razem, jednak postaram się urządzić to wtedy, gdy ojciec nasz wypoczywa po południu. Ale muszę już wracać, — dodał, — złożysz najserdeczniejsze podziękowanie za współczucie i sympatię, jakie nam pan okazał; siostra moja również będzie głęboko wzruszona pańskim uprzejmem zaproszeniem.

Podaliśmy sobie ręce i Mordownt szybko poszedł ku Cloomber-Hall, po chwili jednak zawrócił, a zbliżywszy się do mnie rzekł:

— Prawdopodobnie patrzysz pan na ten dom, jak na prywatny przytułek dla umysłowo chorych; nie mogę na pana za to się gniewać. Zajęły pana, rzecz prosta, nasze dziwactwa, ja zaś nie postąpiłbym po przyjacielsku, gdybym nie zadowolnił pańskiej, łatwo zrozumiałej, ciekawości. Przyrzekłem jednak ojcu najgłębszą tajemnicę, a chociażbym nawet opowiedział panu wszystko co wiem, wątpię, abyś zrozumiał mię w zupełności. Chciej pan jednak wierzyć, że ojciec mój jest również zdrow jak pan lub ja, oraz, że ma poważne przyczyny prowadzenia życia tak bardzo odosobnionego. Mogę dodać jeszcze, że nie powoduje nim nic, coby przynosiło mu ujmę, przeciwnie, wymaga tego tylko instynkt samozachowawczy.

— To znaczy, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo? — zapytałem.

— Tak, grozi mu ciągle i straszne niebezpieczeństwo.

— Czemuż jednak nie zwróci się o pomoc do władz sądowych? Jeśli boi się kogoś, wystarczy, aby wymienił nazwisko, a sprawiedliwość znajdzie środki pokrzyżowania jego wrogich zamiarów.

— Drogi panie West, — odparł młody Lewis, — niebezpieczeństwa, które grozi mojemu ojcu, nie zdoła odwrócić żadna siła ludzka, a jednak jest ono całkiem realne i, być może, nieuniknione.

— Nie chcesz pan chyba powiedzieć, że ma charakter nadnaturalny? — zauważyłem z niedowierzaniem.

— Kto wie? — odpowiedział młodzieniec z głębokim smutkiem. — Powiedziałem więcej, aniżeli miałem prawo. Do miłego widzenia.

Zawrócił i wkrótce straciłem go z oczu.

Powracając do domu, zastanawiałem się nad tem, co usłyszałem. Dotychczas uważałem Leviśów za ludzi niezmiernie ekscentrycznych; po wyjaśnieniu Mordownta wszakże nie mogłem już wątpić, że całe ich postępowanie ma jakieś tajemnicze, złowróżebne znaczenie. Im więcej zastanawiałem się nad tą zagadką, tem wydawała mi się trudniejszą do rozwiązania.

Młodzi Levisowie stają się naszymi przyjaciółmi.

Tajemnica, otaczająca Cloomber, oraz nieopięte oczekiwanie groźnych niebezpieczeństw przez jego mieszkańców z każdym dniem więcej pochłaniały wszystkie moje myśli. Ustawicznie prawie rozmyślałem nad tem nierozwiązalnym zagadnieniem, napróżno usiłując znaleźć jakiegokolwiek wyjście, lub myśl wytyczną.

Pewnego dnia wieczorem, Estera wyszła odwiedzić chorego dzierżawcę.

— John, — rzekła do mnie, powróciwszy do domu, — czyś widział kiedy Cloomber-Hall w nocy?

— Nie, — odpowiedziałem, — nie widziałem go od tego pamiętnego dnia, w którym generał z Mac-Neylem oglądali zamek.

— A więc włóż kapelusz i chodźmy się przejść.

Widocznem było, że coś ją wzruszyło, lub zaniepokoiło.

— Co się stało? — zawołałem. — Czyżby się

tam paliło? — Masz taką minę, jakby całe Wich-
towne stało w płomieniach.

— O nie, tak źle nie jest, — odparła z uśmie-
chem, — ale chodźmy, John, chciałabym abyś sam
zobaczył.

Nie mówiłem Esterze nic takiego, co by mo-
gło ją przestraszyć, nie wiedziała więc do jakiego
stopnia interesuje mnie życie naszych sąsiadów.
Włożyłem na jej życzenie kapelusz i wyszliśmy
z domu. Poprowadziła mnie po wąskiej ścieżce i
wkrótce weszliśmy na wysoki pagórek, z którego
widać było Cloomber jak na dłoni.

— Patrz! — rzekła Estera, wskazując za-
mek.

Pod nami rozpościerała się siedziba generała
Levisa w powodzi światła. Ze wszystkich okien,
nawet pod dachem, słały się snopy jasnych pro-
mieni. Cały dom był tak mocno oświetlony, że w
pierwszej chwili myślałem, że się pali; spokoj-
ne i równe światło wszakże przekonało mnie, że
obawy moje były płonne. Musiało się wewnątrz
palić mnóstwo lamp, tak, iż każdy pokój, sień, to-
nęły w ogniu.

Iluminacja ta była tem dziwniejsza, że w wie-
lu pokojach nikt nie mieszkał, w niektórych zaś nie
było nawet sprzętów.

Stałem tak zdumiony, gdy nagle usłyszałem
cichy płacz siostry.

— Co ci jest, kochana Estero? — zapytałem,
zwracając się ku niej.

— Tak mi straszno czegoś. Chodźmy prędzej do domu! Straszno mi tutaj...

Schwyciła mnie za rękę i przytuliła się do mego ramienia cała drżąca.

— Ależ, moja maleńka, — rzekłem uspakajająco, — czegoż się tu obawiać? Co cię tak wystraszyło?

— Boję się ich, boję się Levisów. Czemu co noc dom swój oświetlają tak rzęsiście. I czemu stary generał ucieka, jak spłoszony zając, gdy kogo spotka? Wszystko to takie dziwne, tak mię przestrasza.

Starałem się uspokoić Estere, jak umiałem, poczem wróciliśmy do domu. Nie zaczynałem z nią już później rozmowy o Levisach, obawiając się wzruszenia dla małej siostrzyczki, ona zaś sama również nie wspominała nigdy ani słowem o tajemniczym zamku. To wszakże, co mówiła owego wieczoru, przekonało mię, że już od dłuższego czasu musiała obserwować życie mieszkańców Cloomberu i że domysły, niepokój i trwoga zdeenerwowały ją do najwyższego stopnia.

Później okazało się, że myliłem się w tym względzie: w rzeczywistości siostra moja miała poważniejsze nawet niż ja przyczyny do przypuszczania, że w Cloomber dzieje się coś dziwnego i strasznego.

Z początku zajmowaliśmy się sprawami rodziny Levisów poprostu przez ciekawość, wkrótce jednak szybko następujące po sobie wypadki związały nas ściśle z jej tragicznymi losami.

Mordownt, skorzystawszy z mego zaproszenia, zaczął bywać w Brinksom i niejednokrotnie przyprowadzał ze sobą śliczną swą siostrę. Zwiedzaliśmy we czworo okolice, a czasem, gdy dzień był piękny, wypływaliśmy na morze. Rodzeństwo było oczarowane temi wycieczkami. Już to samo, że znajdowali się poza obrębem ponurej twierdzy, jaką uczyniono z Cloomber-Hall, i przebywali chociażby krótki czas nawet wśród przyjaznych i współczujących im osób, sprawiało im radość niewypowiedzianą. Znajomość nasza wkrótce zmieniła się też w przyjaźń, a wreszcie stało się to, co się stać musiało, — Mordownt Levis pozyskał serce mojej drogiej siostry, Gabriela zaś przyrzekła być moją. Teraz już śmierć nawet rozłączyć nas nie będzie mogła.

Po zaręczynach naszych widywaliśmy się coraz częściej; czasami nasi przyjaciele przepędzali z nami dzień cały, wtedy zwłaszcza, gdy generał wyjeżdżał za interesami do Wichtowne, lub gdy podagra przykuwała go do łóżka.

Co zaś do naszego dobrego ojca, ten witał nas nieodmiennie żartami lub wyjątkami ze wschodnich poematów, zastosowanymi do naszego położenia; nie mieliśmy przed nim tajemnic, a on uważał już nas wszystkich za własne swe dzieci. Od czasu do czasu jednak, wskutek coraz wzmagającej się ponurości i niepokoju w usposobieniu generała, byliśmy rozłączeni na całe tygodnie; wówczas ani Gabriela, ani Mordownt nie mogli opuszczać parku. Stary generał zamieniał się w milczą-

cego wartownika i dnie całe przepędzał, strzegąc bramy swej siedziby.

Przechodząc tamtędy wieczorem, zdarzało mi się widzieć jego ciemną, posępną sylwetkę, ukrywającą się w cieniu drzew i czułem na sobie jego podejrzliwe, przenikające spojrzenie.

Widząc jego niezgrabne nerwowe ruchy, niepokojne oczy, kurcze twarzy, żał mi było nieśczęsnego starca. Niktby nie pomyślał, że ten zgarbiony, chowający się człowiek, był niegdyś dzielny oficerem, niejednokrotnie odznaczał się na polu bitwy i odwagą swą zdumiewał zwierzchników i podwładnych.

Mimo czujności generała Levisa, widywaliśmy się często z naszymi przyjaciółmi.

Parkan za domem wybudowano tak niedbale, że z łatwością można było odjąć parę desek. W ten sposób utworzyliśmy wyłom w twierdzy, przez który można było niepostrzeżenie wysunąć się z parku.

Pewnego razu oczekiwałem na Gabriłę w pobliżu tajemnego przejścia; wkrótce ukazała się mój dziewczyna i poszliśmy razem na przechadzkę.

— Jakże tu pięknie! — zawołała Gabriela, obejmując wzrokiem rozległy widok, który rozciągał się przed naszymi oczyma. — Ach, John, czemuż nie możemy unieść się na tych falach, zostawiając na brzegu wszystkie nasze kłopoty i zmartwienia!

— Jakież to zmartwienie chciałabyś tu zosta-

wić, droga Gabrjelo? Czy możesz mi coś o niem powiedzieć? — zapytałem wzruszony.

— Nie mam przed tobą sekretów, John, — odpowiedziała — największy nasz smutek, — jak łatwo się domyśleć, — to dziwne postępowanie mojego ojca. Gdy patrzymy na jego szamotanie się z sobą, na jego niezrozumiały niepokój, ogarnia nas straszny żal i ból, którego nic nie może zmniejszyć.

— Czemu właściwie ojciec wasz jest taki dziwny? — spytałem.

— Nie wiem, — odpowiedziała szczerze, — słyszałam tylko, iż wciąż mu się wydaje, że nad głową jego wisi jakieś śmiertelne niebezpieczeństwo, i że niebezpieczeństwo to ściągnął na siebie, podczas pobytu w Indjach. Poza tem nic nie wiem.

— Brat pani jednak wie wszystko, — prze-rwałem. — Jestem o tem przekonany, sądząc z tego, co mówił do mnie; wiem również, że uważa to niebezpieczeństwo za rzeczywiste.

— Istotnie, on i matka wiedzą wszystko, ukrywają to jednak przedemną. Obecnie ojciec mój jest bardziej, niż kiedykolwiek zaniepokojony. Przestrach nie daje mu spokoju dniem, ani nocą, wkrótce jednak doczekamy się piątego października, a gdy ten minie, ojciec mój znacznie się uspokoi.

— Skąd pani to wie? — zapytałem zdziwiony.

— Z doświadczenia, — odparła Gabrjela poważnie. — Piątego października trwoga jego dochodzi do najwyższego stopnia. Po piątym, prze-

rażenie zmniejsza się i wówczas jest względnie spokojny, dopóki znowuż nie zacznie się zbliżać ów fatalny dla nas miesiąc.

— A więc mamy jeszcze dziesięć dni oczekiwania, — zauważyłem. — Powiedz mi teraz, kochanie, w jakim celu urządzenie tę codzienną iluminację?

— Zauważył to pan? — rzekła Gabriela, — to również jest wynik przerażenia, w jakim żyje bez ustanku mój ojciec. Oddawna już nie znosi, aby w domu choćby najmniejszy kącik był nieoświetlony. Przez całą noc, aż do świtu chodzi po wszystkich pokojach i korytarzach, poczynając od piwnic, aż do strychu.

— Dziwię się, że służące mogą wytrzymać w tych warunkach — odezwałem się ze śmiechem.

— W naszej okolicy zabobon kwitnie w najlepszym.

— Wszystkie nasze służące służyły u nas jeszcze w Londynie i przywykły do naszych dziwnych zwyczajów. Przytem otrzymują znaczne wynagrodzenie; jedynie woźnica, Izrael Staks, zgodzony jest w tej okolicy; wydaje się jednak uczciwym i dzielnym człowiekiem, a nastraszyć go wcale nie łatwo.

— Biedna Gabrielo! Ciężko to żyć w takiej atmosferze! Czemu nie chce pani się zgodzić, abym ją z niej wyrwał? Czemu nie pozwolisz, abym udał się do generała i poprosił go o twoją rękę?

— Och, na miłość Boską, John, — zawołała

żywo Gabrijela, — nie czyni pan tego! — Wywiozłby nas wszystkich stąd podczas ciemnej nocy i nie zobaczylibyśmy się nigdy w życiu. Prócz tego, nie przebaczyłby nam nigdy, że pokryjomu wychodziliśmy z parku.

— Nie sądzę, aby był tak okrutny, — odparłem. — Na twarzy jego maluje się wprawdzie surowość, lecz oczy pełne są dobroci.

— Jest najlepszym, najczulszym ojcem, — przerwała mi Gabrijela, — ale gdy mu się kto sprzeciwi lub nie słucha go, staje się strasznym. Nigdy nie widział go pan takim i mam nadzieję — nie zobaczy; ta właśnie niezwykła siła woli, oraz chęć zwyciężania wszelkich przeszkód, sprawiły, że ojciec był tak dzielnym oficerem; zapewniam pana, że w Indiach ceniono go wysoko. Żołnierze bali się go, ale poszliby za nim w ogień.

— A czy wówczas miewał już te ataki nerwowe?

— Od czasu do czasu, ale w daleko lżejszym stopniu. Zdaje mi się, iż ojciec myśli, że niebezpieczeństwo, oddawna mu grożące, z każdym rokiem staje się coraz bardziej nieuniknionem.

— Droga Gabrijelo, — rzekłem, — spójrz na ten prześliczny krajobraz, na to wielkie, błękitne morze; czyż wszystko nie mówi tu nam o pięknie i spokoju? Dokoła nas żyje lud prosty i bogobojny, niezdolny nikomu wyrządzić krzywdy. W pobliżu — duże miasto, w którym znajdują się instytucje, utrzymujące w kraju ład i spokój. O dziesięć mil

stąd stoi załogą pułk wojskowy. Czyż wobec tego wszystkiego rodzinie twej może grozić jakiegokolwiek niebezpieczeństwo? Zapewnia mnie pani, że niebezpieczeństwo to niema żadnego związku ze stanem zdrowia generała; a w takim razie ja mogę panią zapewnić, że żadne zgoła niebezpieczeństwo nie istnieje. Ojciec pani podlega prawdopodobnie manji prześladowczej, lub też halucynacjom. Inaczej postępowania jego objaśnić niepodobna.

— Więc to wskutek manji ojca osiwił mój brat, a matka zamieniła się w cień istoty żyjącej?

— Bezwątpienia, — odpowiedziałem, — rozdrażnienie i ciągły niepokój, w jakim znajduje się generał, mogły podziałać tak zgubnie na wrażliwą, nerwową ich naturę.

— Nie, nie — zawołała Gabriela z głębokim smutkiem. — Ja również widzę jego zdenerwowanie i niepokój, a nie ciąży mi to tak okropnie. Cała różnica polega na tem, że oni znają jego straszną tajemnicę, ja zaś jej nie znam.

— Moja droga, dobre czasy duchów i upiorów minęły bezpowrotnie. Obecnie nikomu nie zjawiają się widma, ani mary z za grobu. Wierz mi, pani, — cała tajemnica zawiera się w tem, że mózg ojca pani nie wytrzymał podzwrotnikowych upałów indyjskiego klimatu.

Nie wiem, co by mi na to odpowiedziała Gabriela, w tej chwili bowiem drgnęła i przestraszona czemś odskoczyła odemnie; twarz jej jakby skamieniała, a oczy pozostały szeroko otwarte.

Poszedłszy za jej wzrokiem, ujrzałem na jednym z drzew wykrzywioną gniewem i bólem twarz starego generała. Domyśliwszy się, że został zauważony, starzec wyszedł z za drzewa i podszedł ku nam. Brodę miał zwichrzoną, a głęboko osadzone oczy gorzały demonicznym blaskiem z pod ciężkich, znużonych bezsennością powiek.

VI.

W jaki sposób stałem się członkiem Cloomberskiego garnizonu.

— Idź do swego pokoju, — zawołał ostro generał, stając pomiędzy nami i rozkazującym gestem wskazując Gabrjeli tajemniczy zamek.

Gabrjela rzuciła na mnie ostatnie, błagalne spojrzenie, przeszła przez otwór w parkanie i wolnym krokiem podążyła w kierunku domu. Wówczas generał zwrócił się do mnie, a na twarzy jego malował się gniew tak straszliwy, że mimowoli cofnąłem się, ściskając w rękę ciężką, dębową laskę.

— Pan... pan... — przemówił starzec urywanym głosem, przyciskając drżącą rękę do gardła, jakby go złość dusiła. — Pan ośmieliłeś się wejść do mego domu. Czyż pan sądzi, że ścianę tę wzniosłem po to, iżby wszyscy tu przychodzili? O, śmierć niedaleko była od pana. Do ostatniego dnia swego życia nigdy nie będziesz pan od niej bliżej. Patrz pan, — wyjął z zanadru krótki, grubo pistolet. — Gdyby jeden krok ośmielił się pan postawić na mojej ziemi, zastrzeliłbym pana jak psa. Nie życzę sobie, aby kręcili się tu próżniacy i

włóczęgi. Wiem dobrze, jak należy się z nimi obchodzić, bez względu na to, czy twarze ich są czarne, czy białe.

— Sir,—rzekłem,—nie chciałem uczynić nic złego, i w istocie nie pojmuję pańskiego wzburzenia. Jednak, pozwól pan sobie zauważyć, że wciąż jeszcze celujesz we mnie, ręka zaś pana drży, łatwo więc może nastąpić wystrzał. Jeżeli nie schowa pan pistoletu, będę zmuszony, dla samoobrony, uderzyć pana laską po rękę.

— Pocóż więc tutaj pana djabli przynieśli? — zapytał generał spokojniejszym już głosem, chowając pistolet do kieszeni. — Czyż człowiek nie może żyć spokojnie, aby go nie oglądano i nie szpiegowano? Czy nie ma pan nic lepszego do roboty? Jakim sposobem poznał się pan z moją córką? Czego pan chciał dowiedzieć się od niej? Nie przyszedł pan tutaj chyba jedynie przypadkowo!

— O nie, — rzekłem śmiało, — nieprzypadkowo. Nieraz już widywałem pańską córkę i miałem sposobność poznać wielkie zalety jej serca i umysłu. Przyszedłem tutaj dziś, aby się z nią zobaczyć, jesteśmy bowiem po słowie.

Generał był zdumiony.

— Nie radzę panu starać się jej zobaczyć, — odezwał się po chwili, — źle mogłoby to się skończyć. Przytem córka moja nie jest dla pana.

— Nie chce pan chyba spotwarzać własnej córki?

— O, jej nie można nic zarzucić. Nikomu jednak nie radziłbym wejść w naszą rodzinę. Powiedz pan, czemu nie powiadomiliście mię o wszystkim?

— Obawialiśmy się, sir, że pan nas rozłączy, — odpowiedziałem, czując, że zupełna otwartość będzie najlepszą drogą w drażliwej sytuacji. — Być może, żeśmy się mylili. Zanim pan cokolwiek postanowi, racz pan zważyć, że idzie tu o nasze wspólne szczęście. W pańskiej mocy jest rozdzielić nasze ciała, dusze nasze, jednak połączyły się nazawsze.

— Sam pan nie wie, o co pan prosi, — rzekł generał, już bez gniewu w głosie. — Między panem, a członkami rodziny Levis leży przepaść, której niczem zapełnić niepodobna.

Na te słowa duma moja zawrzała.

— Może, przepaść ta nie jest tak wielką, jak się panu wydaje, — rzekłem chłodno. — Pochodzę z dobrego rodu, z ojca strony; matka zaś moja nosiła nazwisko Baguen z Baguen. Zapewniam pana, że bynajmniej nie ustępujemy pańskiemu rodowi.

— Żle mnie pan zrozumiałeś. To my nie możemy zbliżyć się do pana. Istnieją przyczyny, dla których Gabrijela musi żyć i umrzeć samotną. Pan nie powinien się z nią ożenić.

— Ależ sir, — nalegałem, — ja sam chyba najlepiej mogę osądzić, co jest dla mnie złem lub dobrem. Niczego bardziej nie pragnę, jak, żeby kobieta, którą kocham została moją żoną. Jeżeli tylko to stoi na przeszkodzie naszemu związkowi, to

powinien pan zgodzić się na moją prośbę; śmiało stawię czoło każdemu niebezpieczeństwu, wytrzymam każdą próbę; ożeniwszy się z Gabrjela, zniosę wszystko z rozkoszą.

— Młody uparciuchu, — rzekł generał z uśmiechem, — łatwo to nie bać się niebezpieczeństwa, gdy go się nie zna.

— Cóż to więc za niebezpieczeństwo? — zawołałem. — Nic niema na ziemi, co by mię zmusiło do opuszczenia Gabrjeli. Na Boga! powiedz mi pan wszystko!

— Nie, nie, to na nic się nie przyda, — odpowiedział z westchnieniem, a zamyśliwszy się dodał, jakby do siebie. — A może lepiej byłoby zwierzyć mu się?

Stał zadumany, zapomniawszy o mej obecności.

— Otóż, West, — rzekł wreszcie, — mam poważne powody sądzić, że na dom mój urządzony będzie napad. Powiedz pan, czy w takim wypadku, mogę liczyć na pańską pomoc?

— Przrzekam ją panu z całego serca.

— A więc, jeśli kiedykolwiek wezwę pana jednym słowem: — „przyjeżdżaj“, lub też poprostu „Cloomber“, wiedz pan, że wzywają pana na pomoc. Przyjedzie pan wówczas w najburzliwszą noc?

— Bezwarunkowo, — odpowiedziałem, — czy mogę jednak się dowiedzieć, jakie właściwie grozi panu niebezpieczeństwo?

— Jeżeli pan będzie wiedział wszystko, to i tak nic się nie zmieni. Może nawet nie zrozumiesz mię pan. Ale teraz muszę cię już pożegnać,—dodał generał, — zbyt długo tu jestem. Pamiętaj więc pan, że uważam go za członka garnizonu Cloomber-Hall'u.

— Jeszcze jedno pytanie,—rzekłem pośpiesznie, — czy mogę się spodziewać, że nie będziesz pan gniewał się na córkę za wszystko, com panu powiedział? Tylko przez wzgląd na mnie, Gabriela trzymała w tajemnicy naszą znajomość.

— Dobrze,—odpowiedział generał ze zwykłym sobie, chłodnym, nieprzenikliwym uśmiechem na ustach. — Co zaś do kwestji waszego małżeństwa, radzę panu, jak przyjaciel, wszelkiej o niem poniechać myśli; jeżeli zaś uważa pan to za niemożliwe, proszę, aby w każdym razie obecnie nie było o tem mowy. Nie można przewidzieć, jaki obrót wezmą wypadki w najbliższej przyszłości. Dowidzenia.

Generał oddalił się szybko i wkrótce znikł za drzewami parku.

Tak skończyło się to dziwne spotkanie, na początku którego stary generał mierzył we mnie z pistoletu, a w końcu — uznał za ewentualnego zięcia. Naprawdę, nie wiedziałem, czy mam się cieszyć, czyli też smucić.

Z jednej strony było prawdopodobnem, że zacznie teraz bacznie strzedz córkę, aby przeszkodzić jej widywać się ze mną, z drugiej zaś obiecał mi pozwolić kiedyś wznowić moje starania. Osta-

tecznie zdecydowałem, że spotkanie to polepszyło nasze położenie.

Co zaś do tajemnicy Cloomber-Hall, jedna rzecz uderzyła mię nadewszystko. I ojciec i syn mówili, że choćby nawet wyjaśnili mi, jakie im grozi niebezpieczeństwo, to prawdopodobnie nie zrozumiałbym całej jego ważności.

VII.

Kapral Ruf Smith zjawia się w Cloomber.

Od czasu rozmowy z generałem dwa razy dziennie podchodziłem do Cloomber-Hall, aby się przekonać, czy spokój jego mieszkańców nie został naruszony. Zauważyłem, że otwór w ścianie zabit deskami.

Dwukrotnie spotkałem generała, który pozdrowił mnie życzliwie, nie czyniąc wszakże najlżejszej aluzji do naszej poprzedniej rozmowy.

Pewnego dnia, a było to drugiego października, szedłem do Cloomber, w nadziei dowiedzenia się czegośkolwiek o mej narzeczonej, której nie widziałem od owego pamiętnego dnia. Nagle spostrzegłem przed sobą człowieka, który siedział na kamieniu przy drodze.

Nie był to mieszkaniec z pobliskich ferm, a wnosząc zaś z jego zniszczonego i zakurzonego ubrania, musiał przybywać zdaleka. Na trawie obok niego leżał duży kawał chleba, w ręce trzymał składany nóż. Podróżny skończył widocznie śniadanie, gdyż strząsnął z kolan okruszyny chleba, a zobaczywszy mię, wstał.

Był bardzo wysoki, twarz zaś jego nie wróżyła łagodności, ani dobroci.

Stanąwszy na środku drogi, zagroził mi ją, jakby nie chcąc puścić mię dalej.

— No, mój kochany,—rzekłem, usiłując zachować spokój, — co mogę uczynić dla ciebie?

Wiatr i słońce nadały twarzy jego przykrą, ziemistą barwę; od ust aż do ucha ciągnęła się głęboka blizna, co go bynajmniej nie upiększało. Głowę miał dobrze już przyprószoną siwizną, futrzana zaś czapka, zsunięta na bok nadawała mu zuchwały, wojskowy wygląd. Ogólne wrażenie moje było, że jest to jeden z najniebezpieczniejszych włóczęgów, jakich kiedykolwiek w życiu spotykać mi się zdarzyło.

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, nieznamy przypatrywał mi się długą chwilę żółtymi, ponuremi oczyma, poczem zamknął nóż i schował go do kieszeni.

— Pan nie jest z policji, — powiedział nagle.— Za młody jesteś na to. Łapali mię w Pisley, łapali w Wichtowne, ale przysięgam, że jeżeli teraz ktokolwiek z nich podniesie na mnie rękę, popamięta do śmierci Rufa Smitha. Miły kraj, niema co mówić, najprzód nie chcą dać człowiekowi roboty, a później aresztują go za to, że nie posiada środków do życia!

— Przykro mi widzieć starego żołnierza w tak smutnem położeniu; w jakim pułku służyliście?

— W królewskiej artylerji konnej. Niech ją

djabli porwą. Skończy mi się niedługo sześćdziesiątka, a otrzymuję marne 40-ci funtów rocznie.

— Sądzę, że to niezła pomoc na stare lata, — zauważyłem.

— A jak pan myśli, ile kosztuje taka rana? — zawołał, podsuwając mi pod oczy ohydnie zeszpecony policzek. — A moja noga, przebita kulą? A moja wątroba, podobna do gąbki? A febra, która mię chwyta, jak tylko zawieje wiatr ze wschodu? Czy zgodzi się pan wziąć to wszystko za marne 40-ci funtów rocznie! Co?

— My, mieszkańcy tej okolicy, nie obfitujemy w dostatki, — odpowiedziałem. — Tutaj uważano by was za bogatego człowieka.

— To znaczy, że mieszkańcy tutejsi są głupi! — rzekł, wyjmując z kieszeni czarną fajkę i nabijając ją ordynarnym tytoniem. — Ja wiem, jak należy żyć i jak mam pieniądze, nie żałuję sobie niczego. Walczyłem za moją ojczyznę, ona jednak dała mi djabło mało. Powiedz pan, — rzekł on po dłuższym milczeniu, — czy nie słyszałeś tutaj o generale Levis'ie, dowódcy 41-go Bengalskiego pułku? W Wichtowne mówili mi, że mieszka gdzieś w tej okolicy.

— Generał mieszka w tym wielkim domu, — odparłem, wskazując wieżę Cloomber-Hall'u. — Ostrzegam was tylko, że niezbyt lubi gości.

Ruf Smith nie dosłyszał nawet mych ostatnich słów, gdyż zaledwie wskazałem mu drogę, kulejąc począł iść naprzód.

Zdumiony tak niespodziewanym zakończeniem

dziwnego spotkania, stałem bez ruchu, spoglądając za odchodzącym; nagle przyszło mi na myśl, że ze spotkania tego zuchwałego i grubiańskiego człowieka z porywczym generałem mogą wyniknąć bardzo poważne następstwa. Poszedłem więc za kapralem i dogoniłem go przy bramie Cloomber-Hall'u.

— To chytry, stary szakal, — rzekł Smith, wskazując głową siedzibę generała. — To zadziwiająco zły, stary pies.

— Radziłbym wam wyrażać się nieco oględniej, generał nie zniesie tego.

— Ma pan słuszność, z nim zawsze trudno było dojść do ładu. Ale czy to nie on idzie tu przez aleję?

Istotnie, ujrzałem generała; prawdopodobnie zobaczył nas, lub usłyszał nasze głosy.

— Robi rekonesans, — rzekł mój towarzysz i zaśmiał się złośliwie. — Boi się, ja zaś wiem z jakiego powodu. Staruszek nie ma ochoty wpaść w zasadzkę. Już on potrafi uciec, gdy tamci tu przyjdą.

Nagle wspiął się na palce, a wychyliwszy się przez bramę i wymachując rękami, zawołał.

— Chodź pan, mój dzielny komendancie, chodź pan, brzeg czysty, niema wrogów.

To poufale obejście uspokoiło generała, chociaż na jego twarzy czytałem wyraźnie gniew i wzburzenie.

— Pan tutaj, mr. West, — rzekł, spoglądając

na mnie. — Czego pan chce, i po co przyprowadził pan ze sobą tego człowieka?

— Nie miałem potrzeby przyprowadzać go tutaj, sir, — odpowiedziałem. — Spotkałem go na drodze, zapytał mnie, gdzie pan mieszka, wskazałem mu więc pański zamek.

— Czego chcecie odemnie, — surowo zapytał generał, zwracając się do kulawego kaprała.

— Jestem starym artylerzystą i byłem w służbie królowej, sir, znałem pana w Indjach; pomyślałem, że weźmie mnie pan do służby, jako ogrodnika, lub też da mi pan jakieś inne zajęcie u siebie.

— Niestety, nic nie mogę dla was uczynić, — odparł surowo stary generał.

— W takim razie może mi pan da nieco drobnych na dalszą drogę, — nalegał Ruf uniżonym głosem. — Nie zechciałby pan przecie, aby stary towarzysz umarł z głodu dla kilku nędznych rupii. Byłem z pańską brygadą w górskich wąwozach, sir, i brałem udział w powtórnej wzięciu Kabulu.

Generał Levis spojrział uważnie na swego rozmówcę, nic jednak nie odpowiedział.

— Byłem z panem w Ghuzni. Wybadaj mnie pan, a przekonasz się, że mówię prawdę. Przeżyliśmy razem te straszne wypadki w młodości, a teraz kiedyśmy się zestarzel, pan mieszka w wspaniałym domu, ja zaś muszę umierać pod płotem. Zdaje mi się, że to jest niezbyt sprawiedliwie.

— Jesteś zuchwałym łotrem,—zawołał gene-

rał. — Gdybyś był dobrym żołnierzem, nie potrzebowałbyś prosić o jałmużnę. Nie dam ci ani grosza.

— Jeszcze słowo, sir! — zakrzyknął włóczęga, widząc iż generał zawraca ku domowi. — Byłem w wąwozie Therada.

Starzec odwrócił się gwałtownie na te słowa; wyglądał, jakby piorun spadł mu u stóp.

— Co... co chcecie powiedzieć? — wyjąkał z trudnością.

— Byłem w wąwozie Therada, sir, i znałem człowieka nazwiskiem Hulab-szach.

Ostatnie słowa wymówił syczącym szeptem i ze złośliwym uśmiechem.

Na generale wywarły one straszliwe wrażenie. Zachwiał się, twarz jego pokryła się trupią białością. Po chwili milczenia wyszeptał zaledwie dosłyszanym głosem:

— Hulab szach! Jakim sposobem mogliście znać Hulab szacha?

— Przyjrzyj mi się uważniej, komendancie,— rzekł włóczęga, — wzrok pana jest słabszy, niż przed czterdziestu laty.

Generał długo i bacznie wpatrywał się w twarz nieznanego kaleki. Nagle w oczach jego zaświecił szczególny blask. Poznał go.

— Boże sprawiedliwy, — krzyknął. — Przecież to nie może być kapral Ruf Smith!...

— Nareszcie poznał mnie pan,— rzekł włóczęga. — Niechże pan naprzód otworzy bramę; nie będziemy przecież rozmawiać tutaj, na drodze.

Generał okropnie jeszcze wzburzony, otwie-

rał zasowy konwulsyjnie drżącemi rękoma. Wi-
docznem było, że odkąd poznał kaprała Smitha,
było mu źlej.

— Kapralu, odezwał się, — niejednokrotnie
zastanawiałem się, czy jeszcze żyjecie, ale nigdy
nie spodziewałem się zobaczyć was na tym świe-
cie. Cóżście robili przez te wszystkie długie lata?

— Co? — odparł ponuro kapral. — Najczęściej
byłem pijany. Jak tylko miałem pieniądze, kupo-
wałem za nie wódkę i żyłem dosyć spokojnie. Gdy
nie miałem już ani grosza, zaczynałem się włóczyć,
trochę, żeby wy dostać pieniędzy, trochę, żeby od-
szukać pana.

— Wybacz pan, że mówimy o sprawach włas-
nych, — rzekł do mnie generał, widząc zaś, że za-
bieram się do odejścia, dodał:

— Nie odchodź pan, wiesz już trochę o tej
sprawie, i być może wkrótce wezmiesz w niej
czynny udział.

Kapral Ruf Smith spojrział na mnie ze zdziwie-
niem: — On będzie brał w niej udział? — zapytał,
—jakim sposobem wmieszał się w to wszystko?

— Z dobrej woli i własnej chęci, — pośpiesz-
nie wyjaśnił generał. — To mój sąsiad i obiecał
mi pomoc, jeśli będziemy jej potrzebowali.

— No, dobrze, ale przecie to nie bagatela!—
zauważył kaleka, patrząc na mnie z podziwieniem.
Nigdy nie słyszałem o czemś podobnem.

— Teraz znaleźliście mnie, więc powiedźcie,
czego sobie odemnie życzyacie? — odezwał się
Levis.

— No, wszystkiego; potrzeba mi mieszkania, ubrania, jedzenia, a przede wszystkim wódki.

— Dobrze, wezmę was do siebie i zrobię wszystko, co jest w mojej mocy, — odparł po namyśle generał. Ale musicz zachowywać dyscyplinę, jak dawniej. Ja jestem generałem, ty zaś — kapralem.

Włóczęga wyciągnął się, jak struna i zasalutowował po wojskowemu.

— Mogę wam powierzyć nadzór nad ogrodem, odprawiwszy ogrodnika, którego teraz trzymam. Co zaś do wódki, będziecie dostawać oznaczoną porcję, ale nie więcej. Nikt z nas w Cloomber-Hall'u dużo nie pije.

— A czyż pan sam, sir, nie palisz opjum, nie pijesz wódki, albo czegoś w tym rodzaju?

— Niczego nie używam, — twardo wyrzekł generał.

— Przyznaję, że nie zdobyłbym się nigdy na tyle siły i odwagi. Teraz nie dziwię się, że otrzymał pan krzyż podczas wojny. Słyszeć co noc jedno i to samo i nie pić dla dodania sobie odwagi! Jabym zwarjował w takich warunkach.

Generał Levis wyciągnął rękę, jakby chcąc wstrzymać Smitha i zwracając się do mnie, powiedział.

— Jestem panu bardzo wdzięczny, mr. West, za wskazanie temu człowiekowi drogi do mojego domu. Nie chciałbym, aby mój stary towarzysz cierpiał nędzę. Idźcie do domu kapralu, za chwilę i ja tam przyjdę.

— Powiedz pan, czy on nic panu nie mówił o mnie przed mojem przyjściem? — zapytał generał, gdy Ruf Smith był już daleko.

— Ani jednego słowa.

Generał odetchnął z widoczną ulgą.

— Sądziłem, — rzekł, że opowiadał panu cokolwiek ze wspomnień przeszłości. No, pójdę zająć się nim. Do widzenia, mr. West.

Zdaje się, że dostatecznie zaznajomiłem już czytelnika z tem, co się działo na wewnątrz Cloomber-Hall'u; teraz więc przytoczę zeznania Izraela Staksa, będącego w służbie u generała Levisa i spodziewam się, iż rzuca one nieco światła na wewnętrzne życie jego tajemniczych mieszkańców.

Izrael Staks nie umie ani czytać, ani pisać. Wyręczył go w tem mr. Matjasz Clark, duchowny prezbiterjański ze Słonkirck, spisując jego zeznanie, pod którem, zamiast swego podpisu, Staks postawił znak krzyża.

Zeznanie to, jako nader charakterystyczne, podaję *in extenso*.

VIII.

Zeznania Izraela Staks'a.

Master Fatterjeall West i pastor żądają, abym opowiedział wszystko, co wiem o generale Levis'ie i o jego domu; nie rozwodząc się więc długo o szczegółach, dotyczących mojej osoby, przystępuję do opowiadania.

W maju minęło dwanaście miesięcy od dnia, w którym master Mac-Neyle, spotkawszy mię na ulicy, zapytał, czy nie miałbym ochoty objąć miejsca woźnicy i ogrodnika. W tym czasie szukałem akurat zajęcia; jednak nie dałem po sobie poznać, że jego propozycja jest mi bardzo na rękę.

— Zgadza się, czy nie? — zapytał krótko. — Proponuję wam dobre miejsce; nawet bardzo dobre; jeżeli chcecie je dostać, przyjdźcie jutro o godzinie drugiej popołudniu do mojego kantoru; będziecie mogli sami rozmówić się z tym panem, który chce was przyjąć na służbę.

Nic więcej od niego nie usłyszałem, bo to człowiek skryty i w interesach twardy jak kamień. W przyszłym życiu nie przyniesie mu to korzyści, chociaż tu na ziemi odłożył już sporo pieniędzy.

Otóż, na drugi dzień poszedłem do kantoru. Oprócz mr. Mac-Neyle'a zastałem tam wysokiego, chudego człowieka o siwych włosach i niezbyt przyjemnym wyglądzie. Spojrzał na mnie uważnie, a potem rzekł:

— Urodziliście się tutaj?

— Nietylko urodziłem się tutaj, ale tutaj wyrosłem i nigdy stąd nie wyjeżdżałem.

— Nigdy nie wyjeżdżaliście ze Szkocji?

— Dwa razy wyjeżdżałem do Carleyle.

— Mr. Mac-Neyle mówił mi, — rzekł generał Levis (gdyż on to był właśnie), że nie umiecie pisać.

— Nie umiem, — odpowiedziałem.

— Ani czytać?

— Nie.

— Zdaje mi się, — zauważył generał, zwracając się do mr. Mac-Neyle'a, — że dla mnie będzie odpowiedni. Jestem pewny, Staks, — dodał, — że będę z was zadowolony. Dam wam trzy funty miesięcznie pod warunkiem, że będę mógł was oddalić kiedy zechcę. Czy życzyście sobie służyć u mnie?

— Inaczej było na mojem poprzednim miejscu, — mruknąłem niezadowolonym głosem.

I nie skłamałem, gdyż stary fermer Scott płacił mi tylko jeden funt na miesiąc.

— Dobrze, dobrze, — rzekł generał, — może powiększę wam wynagrodzenie, jeżeli będę z was zadowolony, oto macie szylling na zadatek. W poniedziałek będę was oczekiwać w Cloomber-Hall.

W poniedziałek więc udałem się do Cloomber. Jest to wielki dom o stu, a może i więcej oknach. Ogrodnika tam właściwie nie było, ale zajmować się ogrodem nie miałem potrzeby, ponieważ prawdę mówiąc, nie było tam również i ogrodu. Pomagałem więc wznosić olbrzymią ścianę, którą generał otoczył całą swą siedzibę, czyściłem noże, obuwie i spełniałem inne posługi.

Oprócz mnie były dwie służące: kucharka Eliza i pokojówka, Mary. Całe swe życie spędziły w Londynie i mało знаły świat.

Nie były one ani trochę religijne, wkrótce więc przestałem jako przykładowy prezbiterjanin niemi się zajmować.

Rodzina generała, oprócz niego samego, składała się jeszcze z trzech osób; lady, syna, mr. Mordownta i córki, miss Gabrijeli. Żona generała była chuda i blada jak widmo; często, gdy myślała, że jej nikt nie widzi, wyrzekała i płakała; nie-raz, uważałem że chodzi po parku i z rozpaczą zalamuje ręce.

Mr. Mordownt i jego siostra również zachowywali się jakoś dziwnie; najgorzej jednak było z generałem. Chodził ciągle z kwaśną i ponurą miną i wyglądał, jak zbrodniarz z postronkiem na szyi.

Raz zapytałem w kuchni, co się dzieje w tej rodzinie, ale kucharka odpowiedziała mi, że ją obchodzi tylko jej zajęcie i że za to otrzymuje wynagrodzenie. Jednym słowem, nic się nie dowiedziałem.

Tak minął tydzień, drugi, trzeci, wreszcie minął miesiąc. Generała ogarniała coraz większa trwoga, lady była coraz smutniejsza. Między sobą nigdy się nie kłócili. Gdy z rodzicami byli młodzi, rozmawiali mało; gdy młodzi odchodzili, generał z żoną mówili o czymś długo przyciszonymi głosami. Ze wszystkiego można było wnioskować, że spodziewają się jakiegoś nieszczęścia; jakiego jednak, nie mogłem się dowiedzieć.

Słyszałem niejednokrotnie, jak generał mówił, że nie boi się ani śmierci, ani żadnego innego niebezpieczeństwa, z którym można się spotkać twarzą w twarz, z którym można walczyć, ale długie oczekiwanie i niepewność pozbawia go sił i odwagi. Lady często odpowiadała na to, że może niema jeszcze powodów obawiać się tego, że to stanie się może dopiero przy końcu ich życia. Generał jednak nie chciał nawet słuchać!

Wiedziałem, że młodzi ludzie nie siedzą wciąż w domu, że, zapoznawszy się z rodziną Westów, zaczęli bywać w Brinksom. Generał zbyt się zajmował swymi własnymi sprawami, aby to zauważyć; ja zaś nie sądziłem, ażeby mojem obowiązkiem było zawiadamiać go o tem, co się dzieje w jego rodzinie.

Dotychczas nie mówiłem o pewnej rzeczy, o której wszakże należy wspomnieć koniecznie.

Generał spał sam w pokoju, bardzo odległym od wszystkich innych. Gdy wychodził, drzwi zamykał na klucz i nikomu nie wolno było wejść do jego pokoju.

W nocy stary pan chodził po całym domu, wcale się spać nie kładąc.

Lampy oświecały wszystkie pokoje, najmniejszy kącik nawet, tak, że wszędzie było jasno, jakby w dzień.

Pewnego razu, gdy pracowałem w ogrodzie, generał podszedł do mnie i zapytał:

— Czy strzelaliście kiedy z pistoletu?

— Boże uchroni! — odpowiedziałem, — nigdy w życiu nie miałem w ręku nic podobnego.

— No, to i nie bierzcie, — rzekł on. — Każdy człowiek powinien bronić się tylko tą bronią, do której jest przyzwyczajony. Sądzę, że wy na przykład doskonale moglibyście się bronić nożem ogrodniczym?

— Pewnie, że mógłbym, — odparłem, — to każdy tutaj potrafi.

— Cloomber leży na uboczu, — zauważył po chwili generał, — może się zdarzyć, że zajrzą tu kiedy jacy włóczędzy. Myślę, że ja, wy, syn mój i mr. West, który przybędzie do nas w razie potrzeby, potrafimy się obronić. Nieprawdaż?

— Naturalnie, sir. Wprawdzie lepiej mieć spokój, aniżeli się bić; jeżeli jednak doda mi pan jeszcze jeden funt na miesiąc, będę gotów do wszystkiego.

— Nie będę się sprzeczać o jeden funt, — odparł krótko generał.

Nie jestem ciekawy i nie lubię nikogo podpatrywać, zachodziłem jednak w głowę, dlaczego

generał chodzi całymi nocami po domu i dziwiłem się, co mu tak odbiera sen?

Pewnego razu, sprząając korytarz, wiodący do pokoju generała, spostrzegłem w rogu kupe portjer, dywanów i tym podobnych rzeczy. Pomyślałem wtedy, że możnaby schować się tam i zobaczyć, co się będzie tu dziać w nocy.

W jednej chwili powziąłem postanowienie. W kuchni powiedziałem, że bolą mi zęby i idę spać do siebie. Znalazłszy się w swoim pokoju, zdjąłem trzewiki, a potem ostrożnie wbiegłem na drugie piętro i ukryłem się pod dywanami, zostawiwszy sobie mały otwór do obserwacji. Wkrótce w domu wszystko ucichło.

Boże mój! Za wszystkie skarby świata nie zgodziłbym się powtórnie przeżyć takich kilku godzin! Nawet teraz, gdy o nich wspominam, zimny dreszcz mię przejmuje.

Sama już cisza, panująca dokoła, napełniała mię przerażeniem. Nagle, a mogła być wtedy godzina druga nad ranem, usłyszałem jakiś dziwny, nie dający się określić dźwięk. Nic podobnego jeszcze nie słyszałem. Było to bardzo ciche, ale zarazem donośne i przejmujące dzwonienie. Przestraszony zacząłem się przysłuchiwać, ale wszystko już zcichło i zapanowała znowuż grobowa cisza.

Po długich chwilach oczekiwania, w których nerwy moje były naprężone do ostatnich granic, dziwny ten dźwięk rozległ się powtórnie; tym razem jednak generał dosłyszał go również. Zajączkał strasznie, jak człowiek, który, zasnawszy głę-

boko, nagle został rozbudzony. Wstał z łóżka i po chwili usłyszałem jego kroki, rozlegające się wśród nocnej ciszy.

Wtem drzwi od pokoju generała otworzyły się. Pierwszy raz zobaczyłem wewnątrz pokoju starego dziwaka; zaledwie jednak zdążyłem spojrzeć na ścianę, zawieszoną rozmaitego rodzaju bronią, generał wyszedł na korytarz i zamknął drzwi za sobą.

Zauważyłem, że oczy błyszczą mu przerażająco, a cała twarz drga, jakby w straszliwych bólach. Wyglądał na człowieka, przejętego śmiertelnym strachem.

Gdy tak uroczyście i w milczeniu chodził po długim i pustym korytarzu, wysoki, chudy, z żółtą twarzą, zdawało się, że to upiór.

Nagle, gdy generał był tuż koło miejsca, w którym się ukryłem, rozległo się wyraźnie, głośno, owe tajemnicze dzwonienie. Dźwięk ten był niezmiernie blisko, nie potrafiłbym jednak powiedzieć skąd dochodził. Może dzwonił sam generał, ale zauważyłem, że ręce jego martwo zwisały. Wydało mi się wszakże, że dźwięk ten rozlega się nad głową generała.

Starzec nie zwracał nań najmniejszej uwagi; przeszedł koło mnie i wkrótce zniknął na zakręcie korytarza. Wtedy, nie tracąc ani sekundy, wyostałem się ze swej kryjówki i pobiegłem do siebie.

Nikomui nie zwierzyłem się z tem, co wtedy słyszałem, ale postanowiłem opuścić Cloomber-Hall w jak najkrótszym czasie. Wprawdzie cztery

funty miesięcznie — to suma, jak dla mnie, olbrzymia, nie wynagrodziłyby mi one wszakże utraty spokoju i zatracenia duszy.

Jasno zdawałem sobie sprawę, że nad generałem i jego domem ciąży jakieś przekleństwo i że spaść musi na tych, którzy je na siebie ściągnęli, nie zaś na przykładowego prezbiterjanina, który zawsze szedł ciernistą drogą cnoty.

To straszliwe dzwonięcie wciąż rozlegało mi się w uszach; bałem się sam zostać w korytarzu, czując, że oszaleję, jeśli usłyszę je raz jeszcze. Szukałem tylko sposobności, by móżdż opuścić służbę u generała.

Okazało się jednak, że nie potrzebowałem prosić o uwolnienie mnie. Sam generał wymówił mi miejsce. Stało się to w końcu września. Powracałem ze stajni, gdy nagle zobaczyłem jakiegoś draba, który skakał na jednej nodze po wielkiej alei i podobniejszy był do olbrzymiej wrony, niż do człowieka.

Pomyślałem wówczas, że to jeden z tych łotrów, o których mówił generał; schwyciłem więc za kij, chcąc rzucić się na niego, on jednak zrozumiał widocznie, co chcę uczynić, wyciągnął bowiem niezmiernie długi nóż, i straszliwie przeklinając, ryknął, że zabije mię, jeżeli nie zejdemu z drogi.

Nadszedł na to generał.

— Schowajcie nóż, kapralu, — krzyknął, — oszaleliście chyba ze strachu!

A zwracając się do mnie dodał:

— Od jutra nie będziecie mi już potrzebni Izraelu. Służyliście mi wiernie, jestem z was zadowolony, okoliczności jednak tak się złożyły, że zmuszony jestem poczynić pewne zmiany.

— Dobrze, sir, odpowiedziałem.

— Możecie odejść dzisiaj wieczór, ja zaś wynagrodzę was sownie za to, że tak nagle was odzalam, — rzekł generał i skierował się ku domowi.

Powiedziałem już wszystko i do zeznania swego nic nie dodam, ani też nie ujmę zeń ani jednego słowa.

Pieniądze przysłano mi w kopercie. Powiedziawszy służącym kilka słów o ogniu piekielnym na pożegnanie, opuściłem Cloomber i otrząsnąłem pył ze stóp moich.

IX.

Opowiadanie Johna Esterlinga.

Jakkolwiek doktor John Esterling raz tylko odwiedził rodzinę Levis'ów, wizycie jego wszakże towarzyszyły okoliczności tego rodzaju, iż uważam za konieczne opowiadanie jego podać do publicznej wiadomości.

Doktor Esterling, mimo swej olbrzymiej praktyki w Stranrow, znalazł chwilę czasu, by spisać swe wspomnienia.

Przytaczam je dosłownie.

„W początku września roku zeszłego otrzymałem z Cloomber list od lady Levis; prosiła mię, abym odwiedził jej męża, którego zdrowie, według jej słów, przejmowało ją obawą.

Ani chwili nie zwlekając, udałem się do Cloomber-Hall.

Naprzód zobaczyłem panią domu, która wywarła na mnie przygnębiające wrażenie. Błada jej twarz, siwe włosy, smutne oczy i pełne zniekania ruchy, wszystko to mówiło o głębokiem cierpieniu.

— Jestem głęboko wstrząśnięta,—rzekła spo-

kojnym głosem dobrze wychowanej kobiety, — stanem mego męża. Miał on wiele przykrości, jego system nerwowy oddawna już pozostawia wiele do życzenia. Osiedliliśmy się w tej okolicy w nadziei, że świeże powietrze i zupełny wypoczynek przyniosą mu ulgę. Tymczasem, zamiast się poprawić, stan jego zdrowia jeszcze się pogorszył, wczoraj zaś dostał silnej gorączki. Przestraszyliśmy się bardzo i postanowiliśmy prosić pana, abyś go zbadał. Proszę, pójdźmy do sypialni generała.

Szedłem za nią krętymi korytarzami do pokoju chorego, położonego w najbardziej oddalonej części wielkiego budynku.

Sypialnia generała nie odznaczała się zbyt-kiem; nie było w niej nawet dywanu. Stało tu tylko niewielkie, składane łóżko, krzesło i zwyczajny stół, na którym leżało mnóstwo papierów i książek. Po środku stołu znajdowała się jakaś rzecz, przykryta płótnem.

Na ścianach wisiało mnóstwo broni, po większej części zdradzającej wschodnie pochodzenie. Na rękojeściach wielu szabel błyszczały drogocenne kamienie, co stanowiło dziwny kontrast ze skromnem urządzeniem całego pokoju.

Gdyśmy weszli do sypialni, generał ciężko od-ychał i prawdopodobnie nie zauważył nas. Blask jego nieruchomych oczu i ciemny rumieniec na twarzy zdradzał silną gorączkę.

Podszedłem do łóżka, nachyliłem się nad chorym, i wziąłem go za rękę. W tej chwili generał porwał się z pośłania i gniewnie odepchnął mnie

od siebie. Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się widzieć na twarzy ludzkiej takiego strachu i przerażenia.

— Krwiożerczy psie, — zajęczał, — puść mnie, puszczaj! Kiedyż to się skończy? Jakże długo mam jeszcze cierpieć?

— Uspokój się, — rzekła mistress Levis, kładąc dłoń na jego rozpalonem czole. — To doktor Esterling ze Stanrow. Przyjechał tu, ażeby przynieść ci ulgę.

Generał upadł ciężko na poduszki, po zmienionym jego wyglądzie zaś poznałem, że odzyskał przytomność i zrozumiał, co mówiła żona.

Wówczas przystąpiłem do badania. Puls był przyśpieszony i nerwowy, gorączka niezmiernie wysoka. Generał miał febrę, jak wielu europejczyków, którzy długie lata przebywali w gorącym klimacie Indji.

— Niebezpieczeństwa narazie niema, — powiedziałem. — Trochę arszeniku i chininy wkrótce przywróci zdrowie pacjentowi.

— Niema niebezpieczeństwa? — zawołał generał. — No, naturalnie, dla mnie nie istnieją niebezpieczne choroby. Mnie tak samo trudno zabić, jak Żyda wiecznego tułacza. Mary, zostaw nas samych z doktorem.

— Zwróć pan uwagę na wątrobę, — rzekł, gdy zamknęły się drzwi za mistress Levis.—Przed laty cierpiałem na nią okropnie.

— Teraz, — zauważyłem, zbadawszy chorego, — niema nawet śladu choroby, ani też obawy,

by wątroba mogła szkodliwie wpłynąć na pańskie zdrowie.

Generał nie był wcale zadowolony z mej diagnozy.

— Tak zawsze bywa ze mną, — rzekł z gorczycą. — Z najcięższej choroby, z największego niebezpieczeństwa wychodzę cały i nic nie może skrócić mego życia. Nie obawiam się śmierci, ale oczekiwanie jakiegoś nadnaturalnego, niemożliwego do pojęcia, strasznego ciosu, może pozbawić wszelkiej odwagi.

— Chce pan powiedzieć, — że przekładasz pan śmierć naturalną nad gwałtowną?

— Nie, nie o to chodzi. Zbyt jestem przyzwyczajony do chłodu stali i świstu kul, aby się ich obawiać. Czy słyszałeś pan kiedy o okultyzmie?

— Nie, nigdy.

— Tak, wy, uczeni europejscy, jesteście bardzo mądrzy w kwestjach, dotyczących ciała ludzkiego, ale co do tajemniczych sił przyrody, ukrytej potęgi ducha ludzkiego i jej przejawów, jesteście zupełnymi ignorantami. Ciała nasze stały się poniżającym więzieniem dla duszy. Dusze mieszkańców Indji nie są tak bardzo przykute do swej cielesnej powłoki. Hindusi wiedzą o przyrodzie więcej, niż wasi najwięksi myśliciele i mogą przyspieszać lub opóźniać jej działanie tajemniczymi środkami, o których my nie mamy nawet najbliższego pojęcia.

— Mówisz pan tak, jakbyś dobrze znał owe tajemnicze siły, będące na usługach indusów.

— Drogo za to zapłaciłem, — odparł generał. — Pan jednak powinien się zapoznać z okultyzmem. Przeczytaj pan Reichenbacha „Badania nad magnetyzmem i siłą życiową“ i „Magnetyzm zwierzęcy“ Gregori'ego. Dzieła te wraz z dwudziestosięmioma aforyzmami Mesmera i z utworami d-ra Kenera oraz Weinsberga, rozszerzą znacznie pański horyzont myślowy.

Nie lubię, aby mi dawano rady co do mego fachu, wstałem więc, nic nie odpowiadając i zabierałem się do wyjścia. Przedtem jednak zbadałem puls chorego i zauważyłem, że spadł i że gorączka ustąpiła. Potwierdziło to moją djagnozę.

Gdy brałem ze stołu kapelusz, ściągnąłem przypadkowo również płótno, pokrywające dziwny przedmiot, który leżał na stole.

Może nie zwróciłbym nań uwagi, gdyby nie to, że spojrzawszy w tej chwili na generała, spostrzegłem na jego twarzy wyraz największego niezadowolenia. Widząc, jednak, że uczyniłem to przez nieuwagę, uspokoił się i rzekł dobrodusznie:

— Niech pan zobaczy; jes to mała plastyczna mapka Himalajów. Ma ona dla mnie specjalne znaczenie: to arena mojej pierwszej kampanji.

— A to, — zapytałem, wskazując krwawoczerwony punkt, — to zapewne miejsce jakiejś bitwy, w której brał pan udział?

— Tak, tutaj miała miejsce gorąca potyczka. Napadnięto na nas...

Nagle generał upadł na poduszki, a na twarzy

jego odbiło się to samo straszne przerażenie, które zaobserwowałem na początku mojej wizyty. W tej chwili tuż nad jego głową rozległ się dźwięk, który można porównać jedynie z dźwiękiem dzwonka rowerowego; ani przedtem, ani też nigdy potem nie słyszałem nic podobnego.

Obejrzałem się dokoła, myśląc, skąd mógł pochodzić ten dziwny głos.

— Nic, nic, — przemówił generał, ze straszliwym uśmiechem, — to mój gong. Może panu wygodniej będzie na dole napisać recepty.

Widocznem było, że chce pozbyć się mnie jaknajprędzej. Jakkolwiek więc miałem niezmierną ochotę dowiedzieć się, co wywołało ów tajemniczy dźwięk, natychmiast pożegnałem generała.

Wyjeżdżałem z Cloomber z mocnym postanowieniem odwiedzenia raz jeszcze mego interesującego pacjenta; chciałem bądź co bądź poznać szczegóły jego przeszłości. Nie sądzonem mi wszakże było dopełnić swego zamiaru: tegoż wieczoru otrzymałem od generała list z sowitem wynagrodzeniem za moją jedyną wizytę. Mr. Levis pisał mi, że lekarstwa moje przyniosły mu wielką ulgę, że czuje się zupełnie zdrowym i że więcej trudzić mię nie będzie.

Był to pierwszy i ostatni list, jaki otrzymałem z Cloomber.

Nieraz sąsiedzi generała zapytywali mię, czy nie uważam generała za warjata. Na pytania takie

odpowiadałem zawsze przecząco bez najmniejszego wahania.

Podczas mojej wizyty jednak skonstatowałem, że ogólny stan jego zdrowia pozostawia wiele do życzenia, a ponieważ ustrój nerwowy generała znajdował się w zupełnem rozprężeniu, sądziłem, że lada chwila należy spodziewać się kryzysu.

X.

List, nadesłany nam z Cloomber.

Od wielu już dni nie widziałem Gabrjeli, ani Mordownta, wielką więc ulgę sprawił mi list, który otrzymałem od naszego młodego przyjaciela w sześć dni po rozmowie mojej z generałem.

— „Moi najdrożsi, — pisał on, — „Gabrjeli i mnie niezmiernie jest przykro, że niepokoicie się pewnie, nie widząc nas i nie wiedząc, co się z nami dzieje. Z domu nie możemy wydaleć się ani na chwilę z powodów, które są wam znane.

„Nasz biedny ojciec czuje się coraz gorzej i prosił nas, abyśmy mu przyrzekli, że do dn. 5-go października nie będziemy opuszczali naszej siedziby. Obiecał nam wzamian po tym terminie pozostawić zupełną wolność. Widocznie w tym roku ma on szczególnie ważne przyczyny do obawy.

„Stan jego jest okropny; drży ze strachu przy najmniejszym szeleście, nocę spędza bezsennie.

„Jeśli wszystko skończy się pomyślnie, to 6-go października oczekujcie nas w Brinksome.

„Przyjmijcie serdeczne pozdrowienie od szczerze przyjaznego i oddanego wam Mordownta“.

List ten sprawił nam niezmierną przyjemność; czuliśmy jednak, że ciężko nam będzie przeżyć te kilka dni, które nas dzieliły od dnia 5-go października.

Tymczasem zdarzyło się coś, co uwagę naszą zwróciło w inną zupełnie stronę.

XI.

Morze wyrzuca na brzeg statek „Belinda“.

Trzeciego października była piękna pogoda; zrana tylko wiał lekki wietrzyk.

Po południu wyszliśmy z siostrą na wybrzeże i dotarliśmy do maleńkiej zatoki Kirck-Maden. Wiatru nie było już zupełnie, a powietrze stawało się duszne.

Usiedliśmy na brzegu, by odpocząć i zdaleka już dostrzegliśmy Jamminssona, który szedł ku nam, niosąc na plecach płaską, okrągłą sieć, używaną zazwyczaj do łowienia krewetek. Zrównawszy się z nami, przystanął i poprosił, abyśmy pozwolili mu przysłać do Brinksom trochę raków morskich.

— Przed burzą nałowię ich dużo, — rzekł.

— Czyżby zanosił się na burzę? — zapytałem.

— Naturalnie, każdy to spostrzeże. Wszystkie łąki dokoła Cloomber zaroily się morskiem ptactwem. Dzień taki niebezpieczny jest dla marynarzy.

— A czy w tej zatoce bywały rozbicia okrętów?

— O tak, sir! To właśnie najniebezpieczniejsze miejsce. W zatoce tej, podczas wojny hiszpańskiej zatонуły dwa najlepsze okręty króla Filipa z całą załogą. Wody te posiadają mnóstwo tajemnic.

— Ale patrz pan, — zawołał nagle Jammisson. — jakiś okręt widać na horyzoncie. Ręczę, że kapitan gorąco pragnąłby teraz być już w bezpiecznym porcie.

— Myślę, że się mylicie i burzy nie będzie.

Stary marynarz roześmiał się głośno i poszedł dalej. Po chwili i my zabraliśmy się do odwrotu.

Nad wieczorem spojrzałem na barometr; ciśnienie było bardzo niskie. Nagle zerwał się wicher i powierzchnia morza lekko zafalowała.

O godzinie dziewiątej wiatr szalał już na dobre, przed północą zaś zamienił się w straszny orkan. Zerwała się burza, jakiej oddawna w tych okolicach nie pamiętano.

O północy udaliśmy się na spoczynek. Myśl, że przyjaciele nasi przechodzą teraz najcięższe chwile, wobec zbliżającego się dnia krytycznego, spędzała mi sen z powiek. Wkrótce jednak znużenie wzięło górę i zasnąłem kamiennym snem młodości.

Nagle poczułem, że ktoś trzęsie mną i rozpoznałem głos mego ojca.

— Wstawaj John, wstawaj, — krzyczał. — W zatoce tonie wielki okręt, giną ludzie. Wstawaj,

mój chłopcze; zobaczymy, co można dla nich uczynić.

Zerwałem się z łóżka i w jednej chwili byłem ubrany.

W pięć minut później staliśmy już w zatoce. Towarzyszyło nam kilkunastu mieszkańców Brinksom'u.

W ciemnościach nocy rozróżnialiśmy zaledwie ciemne chmury i biały blask spienionych fal.

Dał przerażający wicher, zasypując nam oczy piaskiem, z trudnością wpatrywaliśmy się w ciemną otchłań.

Zdawało mi się, że słyszę głosy ludzkie, nabrzmiałe błaganiem i przerażeniem wśród burzy i wichru, jednak niepodobna było dosłyszeć wyrazów.

Nagle w ciemnościach zabłysło światło; reflektor sygnału morskiego zalał jasnym światłem całą zatokę.

Wówczas dojrzeliśmy wyraźnie okręt, powalony na bok na straszliwe rafy podwodne. Był to ten sam, który dostrzegliśmy na horyzoncie dzisiaj zrana. Na środkowym maszcie powiewała flaga Stanów Zjednoczonych.

Na pokładzie okrętu widać było kilkunastu wystraszonych marynarzy, rozpacznie wyciągających do nas ręce.

Marynarze nie byli wszakże jednymi ofiarami nawałnicy. Na drugim końcu pokładu stało trzech ludzi, uderzającej powierzchowności i, jak mi się zdawało, innej rasy.

Rozmawiali spokojnie, jakby nie zdając sobie sprawy z grożącego im niebezpieczeństwa.

Zauważyłem ciemne ich twarze o rysach wybitnie wschodniego typu, oraz głowy, pokryte czerwonymi fezami.

W tej chwili wsiedliśmy do łodzi i walcząc z wichrem i morzem zbliżaliśmy się zwolna do tonącego statku, gdy nagle ujrzeliśmy, jak zwała się nań olbrzymia fala, nieszczęsny okręt z głośnym trzaskiem rozpadł się na dwie części; jedna z nich wraz z trzema niezwykłymi pasażerami zniknęła pod powierzchnią wody; przednia zaś, na której znajdowało się kilkunastu marynarzy, utrzymywała się jeszcze jakiś czas nad wodą.

Okropny krzyk przerażenia wyrwał się z piersi nieszczęśliwych, i wtedy, wyteżywszy resztę sił naszych, znaleźliśmy się na miejscu katastrofy. Umieściwszy na naszej łodzi załogę tonącego statku, zawracaliśmy już do brzegu, gdy wtem nowa, straszliwa fala zatopiła resztki „Belindy“, gasząc zarazem latarnię sygnałową.

Po kilku minutach szczęśliwie wylądowaliśmy.

Zebrani na brzegu mieszkańcy Brinksom życzliwie witali ocalonych marynarzy. Było ich trzynastu; nigdy nie widziałem ludzi równie zziębniętych i przygnębionych; jeden tylko kapitan zachował spokój i równowagę.

Kilku z pomiędzy załogi zabrali do siebie rybacy, większości wszakże ojciec mój udzielił gościnności w Brinksom.

Kapitan Midows, takie bowiem było jego nazwisko, przebrawszy się w moje ubranie, wyszedł do jadalni i przy szklance grogu jął nam szczegółowo opowiadać cały przebieg katastrofy.

— Gdyby nie pan i nie pańscy dzielni chłopcy — rzekł do mnie z uśmiechem, — znajdowalibyśmy się teraz na dnie morza. „Belinda“ już dawno ciekła. Był to stary okręt, ale doskonale zaasekurowany; jego strata nie wywoła więc żalu, ani właścicieli, ani też mojego.

— Obawiam się, — ze smutkiem zauważył mój ojciec, — że nigdy już nie zobaczymy pańskich trzech pasażerów. Na wszelki wypadek zostawiłem na brzegu kilku ludzi, którzy udzielą im pomocy, gdyby morze wyrzuciło ich na brzeg.

— Co to byli za jedni? — zapytałem. — Nigdybym nie uwierzył, aby człowiek mógł być tak spokojny wobec nieuniknionego i strasznego niebezpieczeństwa.

— Kto oni byli, — odparł kapitan, — trudno orzec. Ostatnim razem zatrzymywaliśmy się w porcie Kuraczi, na północy Indji i tam wsiedli na pokład „Belindy“, oznajmiając, że udają się do Glasgowu. Najmłodszy z nich nazywał się Rham Sing i z nim tylko rozmawiałem; wszyscy wyglądali na ludzi spokojnych i nieszkodliwych. Przypuszczam, że byli to kupcy, udający się do Europy za interesami. Nie rozumiem też, czemu bała się ich cała załoga, a nawet mój pomocnik.

— Bali się ich? — zapytałem zdziwiony.

— Tak, wszyscy uważali ich za niebezpiecz-

nych towarzyszy podróży, i napewno obwiniają ich teraz o nieszczęście, jakie się nam przytrafiło.

W tej chwili wszedł do jadalni pomocnik kapitana; podziękowawszy nam za gościnność, zwrócił się do swego zwierzchnika:

— No, a co pan teraz powiesz, kapitanie? Czyż nie mówiłem panu, że stanie się nieszczęście, jeżeli przyjmie my tych trzech czarnych na pokład naszego statku?

Kapitan roześmiał się na cały głos:

— Widzicie panowie? — zawołał, zwracając się ku nam.

— Wszystko to mogło się nie na śmiech dla nas skończyć, — porywczco odrzekł pomocnik. — O mało co nie zginęliśmy wszyscy.

— Chce pan powiedzieć, — zauważyłem, — że wszystkie nieszczęścia należy przypisywać tym biednym pasażerom?

— Dlaczego „biednym“, sir? — zapytał ze zdziwieniem.

— Ponieważ z pewnością utonęli, — odpowiedziałem.

Z niedowierzaniem wrzucił ramionami. Po chwili zaś dodał:

— Ludzie tego rodzaju nigdy nie toną. Opiekuje się nimi ojciec ich, djabeł. Nie widział pan chyba, jak wśród największego niebezpieczeństwa, z niezwruszonym spokojem kręcili sobie papierosy. To chyba zawiele. Nie dziwię się, że ludzie cywilni nie rozumieją, co to oznacza, ale kapitan, żeglujący po morzu od dzieciństwa, powinienby wie-

dzieć, że kot i duchowny — to najgorszy ładunek na świecie. No, a jeżeli chrześcijański duchowny jest niepożądanym pasażerem, to chyba duchowny pogański i bałwochwalca w dodatku jest pięćdziesiąt razy gorszy.

Zaśmieliśmy się głośno z wywodów pomocnika kapitana, ten jednak, niezrażony, myśl swoją rozwijał dalej.

— Jak tylko się zjawili, dwóch naszych marynarzy buddystów, których mieliśmy w naszej komendzie, upadło przed nimi na twarz, a gdy zapytałem ich potem, czemu to uczynili, odpowiedzieli, że nowi pasażerowie — to ludzie święci.

— I cóż z tego Hawkins? — zapytał kapitan Midows.

— A no, najświętszy z chrześcijan jest najbliższy Boga; ale zdaje mi się, że najświętszy z czarnych jest najbliższy diabła. Następnie, sam widziałem, kapitanie, że czytali jakieś książki, napisane na drzewie, nie zaś na papierze; po nocach zamykali się i długo o czymś rozmawiali. Po co wieźli ze sobą własną mapę morską i poco codziennie oznaczali na niej drogę, odbyłą przez statek? Mieli przecież także własne instrumenta mierznicze. A czy pan wie, jak nazywa się ta zatoka, w której okręt nasz uległ rozbiciu?

Kapitan nic nie odpowiedział.

— To zatoka Kirck-Maden, — zawołał Hakinś trjufując.

Midows był tem rzeczywiście zdumiony.

— Zdziwiająca, — rzekł zwracając się do

nas. — Pasażerowie ci od początku podróży dopytawali się wciąż, czy istnieje zatoka tej nazwy. Ja i mój pomocnik odpowiedzieliśmy, że nie znamy jej, na naszej bowiem mapie była ona włączona do głównej zatoki Mews. Rzeczywiście, zdumiewający zbieg okoliczności! Wiatr przyniósł i zniszczył nasz statek właśnie w tej zatoce.

— Jest to tak niezwykle, że nie może być zbiegiem okoliczności, — mruknął Hawkins.—Widziałem ich wczoraj rano, gdy na morzu panowała cisza; stali na pokładzie i pokazywali sobie jakiś punkt na wodzie. Wiedzieli pewnie dobrze, że jest to właśnie port, do którego zdążają.

— Cóż więc wnioskujeś z tego, Hawkins?— zapytał kapitan, na którego twarzy znać było wzruszenie.

— Sądzę, że tym łotrom nie trudniej było wywołać burzę, aniżeli mnie wypić szklanekę grogu. Chcieli koniecznie dostać się do tej nieznannej zatoki, skrócili więc sobie drogę, wywołując burzę.

Przyjęliśmy z powątpiewaniem ten szczególny pogląd Hawkinsa. Siedzieliśmy jakiś czas jeszcze w milczeniu, poczem ojciec mój wstał i dał hasło do rozejścia się na spoczynek.

XII.

O trzech cudzoziemcach.

Nazajutrz była piękna pogoda i nikt nie uwierzyłby, żeby dnia poprzedniego mogła szaleć tak straszliwa burza. Zajęliśmy się, aby rozbitków zapatrzone na drogę i wyprawiono do Wichtowne, skąd pociągiem mogli się udać do Glasgowu.

Kapitan Midows i jego pomocnik zostali jeszcze u nas.

Przed południem udaliśmy się wszyscy na wybrzeże. Może wyrzuciło jeszcze resztki rozbitego okrętu, a okoliczni rybacy wylawiali od czasu do czasu deski i beczułki.

Nagle Hawkins, niezmiernie wzruszony zawołał:

— Patrzcie, czy widzicie go na wierzchołku tej skały nad brzegiem morza?

Spojrzeliśmy w kierunku, wskazanym przez Hawkinsa, i na skale spostrzegliśmy istotnie jakąś postać ludzką.

— Na Boga! — zawołał kapitan, — przecież to Rham Sing w swojej własnej osobie. Zawołajmy go!

Kapitan zaczął biedz w kierunku skały, ja i jego pomocnik podążyliśmy za nim.

Spostrzegłszy nas, człowiek ów z wolna zaczął iść ku nam z głową opuszczoną ku ziemi, jak ktoś,—zatoniony całkowicie w rozmyślaniu.

Rzadko widywałem ludzi, którzyby całą swą powierzchownością wzbudzali tak wielki i mimowolny szacunek, jak ów nieznajomy rozbitek.

Strój jego składał się z brązowej aksamitnej kurtki i takich samych szarawarów; na głowie miał czerwony fez.

Gdyśmy się doń zbliżyli, zdziwiłem się, widząc, że ubranie jego nie nosi żadnych śladów walki z rozszalałym morzem i nie ucierpiało od wody, jakkolwiek człowiek ten z wielkim trudem jedynie mógł dopłynąć do brzegu.

— Jak widzę, przymusowa kąpiel nie wyrządziła panom wielkiej szkody? — rzekł nieznajomy miłym, dźwięcznym głosem, zwracając się do kapitana i jego pomocnika, — mam nadzieję, że i pańscy biedni marynarze również wyszli szczęśliwie z wczorajszej burzy.

— Nic nam się nie stało, — odrzekł kapitan, — ale przypuszczaliśmy, że zginął pan i jego dwaj przyjaciele. Prosiłem właśnie mr. Westa, — wskazał ręką na mnie, — aby się zajął pogrzebem panów.

Rham Sing uśmiechnął się do mnie, poczem powiedział:

— Nie sprawimy tego kłopotu mr. Westowi. Wszyscy trzej szczęśliwie dostaliśmy się do brze-

gu i znaleźliśmy schronienie w małym domku, o parę mil od brzegu.

— Dziś wieczór udajemy się do Glasgowu, — rzekł kapitan, — i sprawi nam wielką przyjemność, jeśli panowie zabierzecie się razem z nami.

— Jesteśmy panu nader wdzięczni za jego uprzejmość, z której wszakże skorzystać nie możemy. Skoro natura wyrzuciła nas tutaj właśnie na brzeg, pozostaniemy czas jakiś w tej miejscowości.

— Wątpię, czy znajdzie pan co interesującego na tem odludziu, — zauważył kapitan.

— Zdaje mi się, że niesłusznie nazywasz pan tę okolicę odludziem; o ile się nie mylę, ojciec tego młodego człowieka, to—mr. James Hunter West, którego szanowne imię znane jest wszystkim uczonym Indji.

— Istotnie, — mój ojciec jest uczonym i zajmuje się głównie literaturą sanskrycką, — odparłem.

— Obecność takiego człowieka zamienia najdzikszą pustynię w miejscowość zajmującą,—rzekł Rham Sing.

— Sprawicie panowie wielką przyjemność mojemu ojcu, jeżeli zechcecie go odwiedzić.

— Dziękuję panu w swoim imieniu i moich przyjaciół. Teraz jednak czas mi już pożegnać panów. Serdecznie dziękuję panu, kapitanie Midows, za uprzejmość, jaką pan okazał względem nas podczas podróży. Żegnam panów, — rzekł Rham Sing, i uchylwszy fezu, z wolna odszedł brzegiem morza.

— I cóż pan teraz powie o nim, mr. West? — zapytał niecierpliwie Hawkins.

— Ogromnie mnie zaciekawiał,—odrzekłem.— Jakąż wspaniałą ma głowę i jak poważne i pełnem godności jest jego zachowanie się, zwłaszcza, że jest jeszcze tak młody. Wszak niema chyba więcej nad lat trzydzieści?

— Czterdzieści, — rzekł Hawkins.

— Sześćdziesiąt, — dodał kapitan Midows. — Słyszałem, jak szczegółowo opowiadał o pierwszej wojnie Afganistańskiej, której był naocznym świadkiem. Wówczas był już dorosły, a działo się to przed czterdziestu laty.

— Zadziwiające, — zawołałem.— Wygląda nie starzej odemnie, na twarzy nie ma ani jednej zmarszczki, a oczy jego płoną jasnym blaskiem. Zapewne jest on najwyższym kapłanem pośród swych towarzyszy.

— Najniższym, — rzekł tajemniczym głosem kapitan. — Przemawia zawsze w ich imieniu. Ich umysły są zbyt podniosłe, aby mogli się zniżyć się do zwykłej, światowej rozmowy.

— Wierz mi pan, — odezwał się Hawkins, gdybyśmy wracali do domu, — im mniej będzie pan miał z nimi do czynienia, tem lepiej dla pana.

Przed wieczorem kapitan Midows i jego pomocnik, pożegnawszy się z nami serdecznie i podziękowawszy za gościnność, opuścili Brinksom.

XIII.

Niezwykłe zjawiska, których byłem świadkiem.

Podczas obiadu opowiedziałem memu ojcu o pojawieniu się trzech buddyjskich duchownych i powtórzyłem pochlebne słowa, wypowiedziane o nim przez Rham Singa; ojciec mój, niezmiernie tem ujęty, gorąco zapragnął poznać się najszybciej z zagadkowymi hindusami.

Estera w milczeniu słuchała mego opowiadania i aż do końca obiadu nie odezwała się ani słowem. Przed udaniem się jednak na spoczynek, zwróciła mi uwagę na dziwny zbieg okoliczności, że duchowni buddyjscy przyjechali tu z Indji właśnie w tym czasie, gdy generałowi Levisowi zagraża największe niebezpieczeństwo, które, jak można było wnosić z napomknień generała, musi mieć związek z jego pobytem w tym egzotycznym kraju.

Uwaga Estery dała mi wiele do myślenia, ale uczciwość i dobroć, malujące się na twarzy Rham Singa nie pozwalały przypuszczać, by jakiegokolwiek niebezpieczeństwo z tej strony mogło naszym przyjaciołom zagrażać.

Niemniej postanowiłem uprzedzić generała o przybyciu duchownych buddyjskich.

Nazajutrz więc udałem się do Cloomber.

Właśnie dochodziłem do bramy parku, gdy ukazał się w niej generał i ze zdziwieniem spostrzegłem, że ubrany jest w mundur wojskowy, jaki noszono przed laty czterdziestu. Mundur ów był zniszczony i wypłowiały; u boku generała wisiała prosta szabla.

Za nim szedł kulejąc dobrze ubrany i widocznie syty i zadowolony kapral Smith.

Spostrzegłszy mię, generał odezwał się u przejmie:

— Dobrze, że pan przychodzi, mr. West, w takim czasie właśnie jak teraz można się przekonać, kto jest przyjacielem, a kto nim nie jest.

— Byłem trochę niespokojny, — odpowiedziałem, — tak dawno już nie miałem wiadomości z Cloomber. Co u państwa słyhać?

— To, co zawsze. Ale jutro będzie nam już lepiej; jutro staniemy się innymi ludźmi, nieprawdaż kapralu?

— Tak, sir, — powiedział kapral, zasalutowawszy przed generałem, — jutro będziemy się czuć doskonale.

— Jestem nieco zdenerwowany, — objaśnił generał. — Nie wątpię jednak, że wszystko jakoś się ułoży. Opatrzność czuwa nad nami. A co pan porabiał?

— Mieliśmy w tych dniach wiele zajęcia i

kłopotu. Czy słyszał pan, że w naszej zatoce rozbił się okręt?

— Nic o tem nie wiem, — odparł generał.

— Przedwczoraj w nocy zatonał przy brzegu okręt, płynący z Indji.

— Z Indji! — zawołał generał.

— Tak. Na szczęście załoga została uratowana, a marynarze udali się już do Glasgowu.

— Czy wszyscy? — zapytał drżący i śmiertelnie blady generał.

— Zostali tutaj tylko trzech buddyjscy duchowni, którzy cudem uratowali się od śmierci.

Zaledwie wymówiłem te słowa, gdy generał padł na kolana i, wzniosłszy ku niebu wychudłe, pomarszczone dłonie, zawołał przejmującym głosem.

— A więc niech się stanie wola Twoja, Panie!

Smith również był blady, a z czoła jego spływał kroplami pot.

— Nic to, — rzekł wstając generał. — Cokolwiek się stanie, spotkamy niebezpieczeństwo, jak przystało brytańskim żołnierzom. Zdaje mi się, że czuję się teraz znacznie lepiej, aniżeli przez wszystkie te lata. Niepewność mnie zabijała.

— I to piekielne dzwonięcie,—dodał kapral.— To było nie do wytrzymania.

— Żegnaj pan, mr. West, — powiedział generał smutnym, ale pewnym głosem, — bądź dobrym mężem dla Gabrieli i zaopiekuj się moją biedną żoną. Żegnaj pan i niech cię Bóg błogosławi.

— Ależ generale, — odezwałem się, — mó-

wisz pan samemi zagadkami. Czasby nam porozmawiać otwarcie i jasno. Czego się pan obawia? Czy tych indusów?

— To na nic się nie przyda, — odrzekł generał. — Wkrótce dowie się pan o wszystkim. Mordowni wie, gdzie są ukryte papiery, dotyczące tej sprawy; jutro pan z nim pomówi.

— Jeżeli jednak, — zawołałem, — niebezpieczeństwo to jest tak groźne, można przecie uczynić cośkolwiek, aby je odwrócić. Gdyby mi pan powiedział, co pana tak przeraża, wiedziałbym, jak należy postąpić.

— Mój drogi przyjacielu, — rzekł poważnie generał, — nic nie można uczynić; niebezpieczeństwo jest nieuniknione; uspokój się więc i nie chciej stawać na drodze mego przeznaczenia. Byłoby szaleństwem z mojej strony ukrywać się za śmiesznyściami ścianami z desek i kamieni. Smith i ja ściągaliśmy na siebie fatalny los, przed którym ująć nie zdołamy. Pozostaje nam jedynie polecić dusze nasze Bogu Najwyższemu. Teraz żegnam pana; muszę jeszcze zniszczyć niektóre papiery i wszystko doprowadzić do porządku.

Długo i gorąco uścisnęliśmy sobie dłonie; potem krokiem pewnym poszedł generał ku domowi. Złowrogi kaprał podążył za nim.

Bardzo wzruszony, wracałem do Brinksom. Wydawało mi się niemożliwym, aby Rham Sing i jego towarzysze mieli jakieś groźne zamiary względem generała; jednak, przypominając sobie teraz wygląd zagadkowego indusa, widziałem, że

w czarnych jego oczach i mocno ściągniętych brwiach wyrażało się usposobienie do porywczosci i straszliwego gniewu.

Powróciwszy do domu, ze zdziwieniem zobaczyłem mego ojca rozmawiającego z tak żywo mię zajmującym Rham Singiem.

Siedzieli w ogrodzie i wiedli zacięty spór w kwestji sanskrytu.

Rham Sing uprzejmie mię pozdrowił i w dalszym ciągu prowadził dysputę, która przeciągnęła się dość długo.

Gdy Rham Sing żegnał się z moim ojcem, ofiarowałem się towarzyszyć mu w drodze do domu. Propozycję tę przyjął bardzo chętnie.

Przez drogę zamieniliśmy zaledwie kilka nieznaczących uwag o piękności krajobrazu i mieszkańcach okolicy.

Wreszcie stanęliśmy przed opuszczonym domkiem rybackim, gdzie od wielu już lat nikt nie mieszkał. Rham Sing otworzył drzwi i, zajrzawszy do wnętrza, dał mi znak, abym szedł za nim.

— Może pan wejść, — rzekł przyciszonym głosem, — zobaczysz widok, który nie często zdarza się widzieć Europejczykowi. Dwaj moi towarzysze znajdują się teraz w stanie ekstazy. Ich astralne ciała oddzieliły się od ziemskiej powłoki i uczestniczą w świętem nabożeństwie w Tybecie.

Starając się stapać jaknajciszej, wszedłem do wnętrza domku.

W ciemnym pokoju ujrzałem na tapczanach

siedzących dwóch ludzi smiertelnie bladych, którzy wydawaliby się martwymi, gdyby nie ich powolny i rytmiczny oddech.

— Ich właściwe ciała znajdują się teraz nad brzegami Gangesu, a duch ich włada w tej chwili tak wielką siłą, że nie istnieje dla nich nic niewykonalnego. Ale nadchodzi czas, w którym powinienem przywołać ich do realnego życia,—dodał Rham Sing i ujmując mię za rękę, wyprowadził z chaty.

— Wszystko, co widziałem i co słyszałem od pana, wielce mię zainteresowało i często będę myślał o naszym krótkim spotkaniu, — rzekłem ściskając dłoń Rham Singa na pożegnanie.

— Osiągnie pan przez to wielką korzyść, — odpowiedział poważnie. — Wiedz pan, cokolwiek się stanie, nie należy uważać tego za zło tylko z tego powodu, że nie zgadza się z waszemi pojęciami o sprawiedliwości. Istnieją rozkazy, które należy wypełniać, chociażby wykonanie ich zdawało się okrutnem i nieludzkiem; niczem jest ono w porównaniu z okropnemi następstwami, które stałyby się skutkiem niewykonania tych rozkazów. Dla człowieka, na którego rękach została się krew wielkiego świętego, niema miejsca na ziemi!

Wymawiając te słowa, wznosił groźnie ręce ku niebu i zawróciwszy, zniknął za drzwiami swej chaty.

Długo stałem na miejscu bez ruchu, zastanawiając się nad pełnemi ukrytego znaczenia słowami indusa.

Wreszcie z ciężkim westchnieniem poszedłem ku domowi.

Nigdy w życiu czas nie przechodził mi tak nieznośnie powoli, jak owego pamiętnego dnia 5-go października. Estera okazywała wielki niepokój.

W końcu jednak słońce zaszło i nastąpiła noc pełna tajemnic.

XIV.

Okropna noc.

Była może godzina dwunasta; Estera i ja siedzieliśmy jeszcze w jadalni, starając się czytaniem rozerwać nasze smutne myśli, gdy nagle w pobliżu domu rozległy się czyjeś szybkie kroki. Wstałem i otworzyłem drzwi do ogrodu; nagle ukazał się w nich Mordownt Lewis i po chwili wszedł do pokoju.

Drżał cały, a sam już wygląd jego nie wróżył nam nic dobrego.

— Mój ojciec, — rzekł złamanym głosem, — mój ojciec... wyszedł z domu...

— Wyszedł?

— Tak, wyszedł, a wraz z nim kapral Ruf Smith. Nie zobaczymy już ich nigdy w życiu.

— Dokądże oni poszli? — zawołałem. — Chodźmy za nimi, może będziemy im potrzebni.

— To się na nic nie zda, — odrzekł Mordownt, przyciskając ręce do skroni.—Nie zdołamy niczemu przeszkodzić. Niestety zapewne już się stało.

— Cóż więc zaszło, na Boga? — zapytałem

wzburzony. — Nie powinniśmy podawać się rozpaczcy.

— Do świtu nic nie poradzimy, — odparł Mordownt, — jutro rano odnajdziemy ich ślady.

— A co robi Gabryela i mistress Levis?

— Gabryela o niczem jeszcze nie wie, matka zaś moja dzielnie zniosła ten cios.

— Skoro nic nie możemy uczynić przed świtem, zauważyłem, — opowiedz nam, jak to się stało.

— Przybycie Rufa Smitha, — rozpoczął Mordownt, — było dla nas pierwszym ostrzeżeniem. W strasznym niepokoju oczekiwaliśmy fatalnego dnia. Dziś wieczór ojciec serdeczniej niż zwykle ucałował matkę moją i Gabryelę, a potem udał się ze mną do mojej sypialni i oddał mi niewielki pakiecik, zaadresowany do pana, mr. West. Gorąco prosiłem ojca, aby mi pozwolił dzielić ze sobą niebezpieczeństwo, które mu grozi, zabronił mi jednak kategorycznie wtrącać się do jego spraw. Potem pożegnał mię i zamknął nas wszystkich na klucz, jak to nieraz czynił.

W ciężkiej zadumie pogrążony, zatraciłem poczucie rzeczywistości, gdy nagle wyrwał mię z tego stanu odrętwienia dziwny, przejmujący dźwięk, coś, jakby dzwonienie, rozlegające się tuż nad moją głową. Zerwałem się na równe nogi. Wskazówki zegaru stały na godzinie wpół do dwunastej.

Otworzyłem okno i ujrzałem park, zalany blaskiem księżyca. Jakież było moje zdumienie, gdy

w pobliżu domu spostrzegłem trzech ludzi, patrzących w górę. Ciemne ich twarze, czarne włosy, wskazywały, że byli to indusi. Wznosili ręce do góry, poczem natychmiast je opuszczali; wargi ich poruszały się, jakby wymawiając słowa modlitwy lub zaklęcia. Nagle wszyscy jednocześnie krzyknęli coś, a przejmujący dźwięk ich głosów do tej chwili brzmi w moich uszach! Wówczas ze zdumieniem ujrzałem, jak mój ojciec i kapral Smith wybiegli z niezwykłą szybkością z domu, jakby ludzie, o władni strasznie przerażeniem. Trzej cudzoziemcy szybko podążyli za nimi. Mogę śmiało stwierdzić, że ludzie ci nie użyli żadnego gwałtu, nie dotknęli się nawet mego biednego ojca i jego towarzysza, a jednak jestem głęboko przekonany, że równie generał jak i Ruf Smith działali pod naciskiem ich duchowej władzy.

Wszystko to stało się z niesłychaną szybkością.

Porwałem się od okna i z całej siły targnąłem drzwiami; po kilkakrotnych wysiłkach ustąpiły wreszcie. Pobiegłem najpierw do pokoju matki i przekręciłem klucz we drzwiach. W tej chwili ukazała się ona na korytarzu i dała mi znak, abym zachowywał się cicho. Widziała wszystko!

— Niech się stanie wola Boska, — wyszeptowała. — Twój biedny ojciec znajdzie spokój w zagrobowem życiu i będzie szczęśliwszy. Dobrze, że Gabriela śpi.

— Co mam czynić, — zapytałem, — dokąd oni

poszli? Jak pomódz ojcu? Może pojechać do Wich-
towne i zawiadomić policję?

— Nie czyni tego, ojciec niejednokrotnie prosił
mnie, aby nie zwracać się do pomocy policji. Synu
mój, nigdy już nie zobaczymy twojego ojca. Gdy-
byś wiedział tak dobrze jak ja, z jakim upragnie-
niem wyczekiwał śmierci, zrozumiałbyś moją
rezygnację. Czuję, że wszelki pościg byłby bez-
celowy.

Ja jednak nie mogłem się uspokoić. Wybieg-
łem z domu, pragnąc gonić ludzi, którzy uprowa-
dzili mojego ojca; wkrótce jednak zatrzymałem
się bezradny. Wówczas, jak płomyk nadziei, za-
świeciła w mojej głowie myśl, że dacie mi dobrą
radę.

— Skoro się tylko rozwidni, — rzekłem po
namyśle, — pożyczymy od Johna Folarstona, któ-
ry ma w pobliżu fermę, bardzo mądrego wyźła,
i puścimy go na ślady generała. Jest to niezawod-
ny sposób. Tymczasem wypocznij pan na kana-
pie, mnie zaś oddaj papiery swego ojca.

Młody człowiek w milczeniu podał mi niewiel-
ki pakiet.

Drżącemi rękoma złamałem pieczęcie i roz-
winąłem paczkę, w której znalazłem list i kilka
wyblakłych arkuszy, zapisanych pismem genera-
ła. List, datowany dnia poprzedniego, zawierał co
następuje:

„Mój drogi West,

„Być może, że powinienem był wcześniej
objaśnić pana co do niebezpieczeństwa, jakie

mi groziło, nie uczyniłem tego jednak, ze względu jedynie na twój spokój.

„Wraz z tym listem otrzymasz urywek z mego dziennika, z którego jasno przedstawisz sobie wszystkie wypadki fatalnego dnia 5-go października 1841 r. i okoliczności śmierci Hulab-szacha, buddyjskiego pustelnika.

„Śmierć jego ciężko odpokutowałem, przez lat czterdzieści słysząc nad sobą dźwięk astralnego dzwonka, za pomocą którego mściciele wielkiego męża buddyjskiego dawali znać o swej nieustannej czujności i o straszliwej swej zemście, której nie zdołam uniknąć.

„Śmierć będzie dla mnie wybawieniem, więc nie żałuj mnie, lecz przeciwnie raduj się wraz ze mną.

„A teraz żegnaj pan. Bądź dobrym mężem dla Gabrieli i nie zachowaj o mnie złej pamięci!

„Twój nieszczęśliwy przyjaciel

John Bertier Levis“.

Z niecierpliwością pochwyliłem dziennik generała.

Poniżej przytaczam treść jego, jako dokument.

XV.

Dziennik Johna Bertier Levisa.

„Dolina Thul, dnia 1-go października 1841 r.

„Artylerzysta Elivt i ja odpowiadamy za bezpieczeństwo dróg na przestrzeni dwudziestu kilometrów, od wejścia do doliny, aż do mostu na rzece Zotar. Mamy stanowczo zamało żołnierzy i armat.

„2-go października. Podpułkownik Sidney Herbert, mający dozór nad całą doliną, powinien mi dodać jeszcze jeden oddział żołnierzy. Jestem przekonany, że w razie jakiegoś poważnego napadu, zostaniemy odcięci.

„Sygnalizowano mi dzisiaj ruchy dzikich plemion. Będzie im gorąco, jeżeli dostaną się w moje ręce. Już od dłuższego czasu nie mieliśmy wiadomości z forpczt.

„Z Pendżabu przybyła bateria na słońiach w doskonałym stanie. Wojska nasze zdobyły Ghusni.

„3-go października. Świetne wiadomości z forpczt. Barley, oficer kawalerji przybył z depe szami. Kabul został ostatecznie wzięty.

„4-go października. Zdaje mi się, że tym ra-

zem indusi gotują się do czegoś poważnego. W wąwozie Therada, pod wodzą Zemouna gromadzą się mieszkańcy gór. Jeżeli uda mi się schwycić go, Zemoun zniknie z powierzchni ziemi.

„Jutro oczekujemy przybycia karawany. Dopóki ona nie nadejdzie, nie mamy powodu obawiać się napaści.

„Obmyśliłem znakomity plan. Weźmiemy oddział z dwustu żołnierzy i przekradniemy się na drugi koniec wąwozu.

„Gdy rozbójnicy zobaczą karawanę bez konwoju, napadną na nią, a wówczas my wyskoczmy z zasadki i urządzimy prawdziwą rzeź.

„Godzina 9-ta wieczorem. Ruszyliśmy w pochód naprzeciw karawany. Oby nam się udało.

„5-go października, godzina 7-ma rano. Trjumfujemy! Plan cały powiódł się doskonale.

„Przed chwilą wróciliśmy z wyprawy. Cały jeszcze pokryty jestem krwią i błotem.

„Opiszę wszystko po kolei.

„Karawanę spotkaliśmy u wejścia do doliny, późnym wieczorem. Wytłómaczyliśmy dowódcy star rzeczy i postanowiliśmy wyruszyć w drogę o czwartej nad ranem. W nocy przekonałem się, że obawy nasze, tym razem, nie były płonne.

„Leżąc na jednym z furgonów z prowjantami, spostrzegłem ukrytych za skałami indusów.

„Przed wyruszeniem w drogę, pochowałem moich żołnierzy w furgonach, przykrytych płótnem;

Elivt również znakomicie ukrył swoich artylerzystów i trzy armatki.

„Gdyśmy weszli w wąwóz Therada, okrążył nas tłum indusów i rzucił się na karawanę.

„Wówczas z każdego wozu, z każdego otworu padły niezliczone strzały.

„Okolo osiemdziesięciu czarnowłosych naszych przeciwników padło na miejscu.

„Inni pod wodzą swych naczelników przypuścili szturm do furgonów.

„Wyskoczywszy z ukrycia, rozpoczęliśmy straszliwą rzeź. Elivt ustawił swoje armatki i sypał kule i granaty w zbity tłum, moi zaś ludzie wzięli wrogów w ogień karabinowy z dwóch stron.

„Nigdy nie widziałem tak okropnej, tak szybkiej porażki. Szeregi indusów topniały, jak lód pod rozpalonem słońcem równika. Wkrótce przeciwnicy nasi szukali ratunku jedynie w ucieczce. Puściliśmy się więc za nimi w pogoń i zapędziliśmy ich do jednego z wąwozów bez wyjścia.

„To dało nam zupełną przewagę; czuliśmy bowiem, że nie dorównujemy w zręczności tym mieszkańcom gór i po zawiłych ścieżkach i górzystych stokach mogliby z łatwością umknąć przed nami. Powstańcy wpadli w pułapkę jak myszy.

„Jakiż widok jednak przedstawił się oczom naszym, gdy po wielu trudach doszliśmy wreszcie do końca wąwozu?

„Oto ujrzelśmy naraz ciemny otwór wielkiej grotty, w którym stał jakiś starzec siwobrody, niepojęty wzbudzając szacunek.

— „Krwawi ludzie, — zawołał grzmiącym głosem w czystym angielskim języku. — Miejsce to poświęcone jest modlitwie i rozmyślaniu, nie zaś zabójstwu. Precz! Bo inaczej gniew bogów spadnie na was“.

— „Odejdź, starcze! — krzyknąłem. — Jeżeli będziesz stawiał opór, zginiesz!

„W tejsze chwili z wnętrza pieczary wychyliło się mnóstwo czarnych głów górali—indusów.

„Na czele oddziału artylerzystów rzuciłem się naprzód. Starzec podbiegł naprzeciw nas, sądząc, że zatrzyma moich żołnierzy, wśród których rzeczywiście zauważyłem pewne wahanie. Nie zważałem więc na nic i przeszyłem szablą zuchwałego starca. Widząc to, indusi podnieśli straszny krzyk.

„Gdy starzec upadł martwy, żołnierze moi rzucili się na nich. W kilka minut potem ani jeden indus nie został przy życiu.

„Gdy bitwa się skończyła, kazałem odszukać ciało starca; zniknęło ono jednak bez śladu.

„Później dowiedziałem się, że nazywał się on Hulab szacha. Uważano go za świętego, proroka i cudotwórcę; dlatego to, gdy go zabiłem, indusów ogarnęło tak wielkie przerażenie.

„6-go października. Pragnę jak najspokojniej opisać to, co zaszło dzisiejszej nocy.

„Gdy zmęczony niezmiernie rzuciłem się na posłanie, by odpocząć i twardo zasnąłem, rozbudził mnie nagle jakiś hałas. Zerwawszy się na równe nogi, ujrzałem na progu jakiegoś człowieka we wschodnim ubraniu. Sądząc, że człowiek ten chce

mnie zamordować, chciałem rzucić się nań, nie wiem jednak dlaczego, zabrakło mi sił. Energia zupełnie mnie opuściła — nie mogłem uczynić najmniejszego poruszenia.

— „Poruczniku Levis, — rzekł dziwny mój gość, — spełniłeś dzisiaj największe przestępstwo, jakie tylko człowiek spełnić jest w stanie. Przelałeś krew jednego z trzech świętych pierwszego stopnia i to bez najmniejszej winy z jego strony. Spotka cię za to straszliwa kara.

— „Nadzieja spokojnej śmierci niech ci się nie uśmiecha. Długie lata będziesz żył w nieustannej trwodze i przerażeniu, my zaś mocą nadzwyczajnej, nadnaturalnej władzy nie damy ci zapomnieć ani na chwilę o zbrodni, jaką popełniłeś, ani też o oczekującej cię u kresu twego życia straszliwej karze.

— „Nasz astralny dzwon co chwila będzie dźwięczał nad twą głową, byś nie zapomniał o mścicielach świętego Hulab szacha!

— „Kara, jaka cię spotka, nie ominie również i twego kaprała Smitha, który także podniósł oręż na wybrańca Buddy.

— „Nie zobaczymy się aż do chwili, w której przyjdziemy się upomnieć o twoje życie.

„Wymówiwszy te słowa, tajemniczy nieznamy przepadł bez śladu.

„Niemoc, skuwająca dotychczas moje członki, opuściła mię natychmiast po jego wyjściu.

„Strażnik, stojący przy wejściu do mej kwatery, z wszelką pewnością twierdził, że nikt do

mnie nie wchodził, ani też nikt nie opuszczał mojego mieszkania; a jednak byłem najmocniej przekonany, iż wszystko to stało się na jawie i że nie było igraszką wyobraźni.

„Jeszcze jeden dowód utwierdził mnie w mej pewności: w kilka minut potem rozległ się tuż nad moją głową przejmujący dźwięk jakiegoś dziwnego dzwonu. — Był to dzwon astralny, o którym wspominał mi tajemniczy nieznajomy.

„Wieczorem rozmawiałem z kapralem Rufem Smithem, i on przeszedł to samo, co i ja... i on słyszał tajemniczy dzwon“...

Na tem kończył się dziennik porucznika Lewis'a.

Do dziennika dołączona była jedna jeszcze jedyna kartka, pisana widocznie przez generała na kilka dni przed zniknięciem.

„Od tego pamiętnego dnia przez lat czterdzieści co chwila słyszałem ów straszny dźwięk, przejmujący mnie zawsze przerażeniem.

„Wszystko, co przeszedłem, wyniszczyło mię moralnie i fizycznie.

„Najwięcej męczy mię niepewność, w jaki sposób i z której strony zjawi się przedemną śmierć.

„Czuję, że ludzie ci posiadają nieograniczoną nademną władzę i karząca ich ręka dosięgnie mnie w najtajniejszym zakątku świata.

„Cierpień których zaznałem za życia, żadne

pióro nie zdoła opisać, mam jednak nadzieję, że
za grobem znajdę tyle upragniony spokój.

D. B. Levis“.

Gdy zamykałem dziennik generała, zaczynało
już świtać.

Mordownt i Estera słuchali mię z natężoną
uwagą.

Powiedziawszy Esterze, aby w oględnych
słowach zawiadomiła ojca o wypadkach dzisiej-
szej nocy, udałem się z młodym Levis'em na po-
szukiwanie generała.

XVI.

Przepaść Cri-Cri.

Gdyśmy przybyli do Folarstonea, zastaliśmy go, mimo tak wczesnej pory już przy zajęciu. Opowiedzieliśmy mu, co nas do niego sprowadza i przedstawiliśmy naszą prośbę.

Folarstone zgodził się nie tylko pożyczyć swego ulubionego wyźła, ale nawet zaofiarował się towarzyszyć nam.

We trzech więc ruszyliśmy z największym pośpiechem ku Cloomber.

Mordownt pobiegł do domu i natychmiast wrócił ze starem ubraniem generała, które podał Folarstonowi, ten zaś dał je do powąchania swemu pieskowi.

Rozumne ziwerzę, obwąchawszy ze wszystkich stron ubranie, pobiegło przez aleję, powróciło do nas i obwąchało ubranie, poczem zaszczekało radośnie, jakby chcąc powiedzieć, że jest już na śladzie.

Następnie na znak swego pana pies zaczął biedz za śladami, my zaś podążyliśmy za nim.

Zpoczątku szliśmy szosą, potem zwróciliśmy się na północ.

W jednym miejscu musieliśmy przechodzić niewielką rzeczkę, mądry nasz przewodnik jednak i tu nie stracił śladu i wkrótce odnalazł go na drugim brzegu.

Koło godziny dziesiątej rano przeszliśmy już ze dwanaście mil; od paru godzin drapaliśmy się po górzystych zboczach, siedliśmy więc, by odpocząć.

Pod nami rozciągało się wielkie torfowisko Cri - Cri, pokryte gdzieniegdzie kałużami wody, która widocznie przesączała się tu z morza.

Torfowisko to było niezmiernie niebezpieczne i nikt nie zdecydowałby się przejść przez nie bez przewodnika; jedynie tutejsi włościanie znali pewne i bezpieczne ścieżki.

Gdy odpocząwszy, zesliśmy ku torfowisku, pies nasz zaczął okazywać wielki niepokój.

Folarstone założył mu teraz na szyję długą linkę, pies jednak wrywał się wciąż naprzód, z taką siłą, że ledwieśmy mogli mu nadążyć.

Wkrótce przekonaliśmy się, że węch naszego przewodnika nie zawiódł nas. Na mokrej i miękkiej ziemi widać było wyraźnie i jasno odbicie stóp pięciu ludzi. Ze śladów można było zauważyć, że szli oni w jednym rzędzie, w dość znacznej odległości jeden od drugiego. Wniosek z tego był prosty, że buddyści nie wywierali na generała i jego towarzysza fi z y c z n e g o nacisku.

— Wiem już, dokąd nas pies prowadzi, — odezwał się chmurnie Folarstone.

— Dokądże? — zapytałem.

— Do przepaści Cri-Cri, — odparł. — Znajduje się ona w pobliżu. Jest to wielka, bezdenna jama.

— Skąd wicie o tem? — zapytałem mocno zaniepokojony.

— Mój pradziadek, upiwszy się pewnego razu, — rzekł Folarstone po długim namyśle, — założył się, że pójdzie do tego przekłętego miejsca. No, i poszedł... — ale gdy wrócił stamtąd, niktby nie poznał tego dzielnego człowieka. Na samo wspomnienie o przepaści Cri-Cri drżał, jak listek. Był on tam pierwszy z Folarsten'ów i, mam nadzieję, że ostatni. Ja tam nie pójdę; nie chcę wyzywać złego i radzę również panom, abyście wracali do domu.

Nie pomogły namowy, ani obietnice. Za znaczne zaledwie wynagrodzenie zgodził się on dać nam swego psa, Nicka, sam zaś pozostał na miejscu.

Ruszyliśmy śmiało w dalszą drogę. Nick, czując bliski koniec naszej wyprawy, wydzierał się z całych sił naprzód; z wielkim wysiłkiem jedynie mogliśmy za nim nadążyć.

Po kilkunastu minutach, stanęliśmy nad złowrogą przepaścią. Ślady stóp wyraźnie malowały nam tragedję dzisiejszej nocy. Pięciu ludzi spuściło się wgląd przepaści—trzech tylko powróciło na ziemię. Gładka powierzchnia wstrętnego błota, nad

którem unosił się okropny zapach, zamknęła w sobie nazawsze okropną tajemnicę.

Gdyśmy pogrążeni w bolesnej zadumie stali tak na tym strasznym grobem dwóch nieszczęśliwych ludzi, z głębi błotnistej jamy doszedł nas dziwnie przejmujący dźwięk, nie dający się z niczem porównać.

— To dzwon astralny, — przemówił drżącym głosem Mordownt. — Być może, że wszystko stało się zgodnie z prawami okultyzmu, zobaczymy jednak, co na to powie sprawiedliwość Wielkiej Brytanji. Jeżeli ich wyśledzimy i będziemy mogli ich dogonić, ci trzej buddyści odpowiedzą głową za śmierć mego ojca!

Mówiąc to, pociągnął za sobą Nicka i wskazał mu ślady stóp trzech indusów. Pies obwąchał je, poczem przypadł do ziemi, najeżył się i wysunął język, nie ruszając się z miejsca. Był w tej chwili niejako wcieleniem psiego przerażenia: drżał cały i żałośnie skowyczał.

— Widzisz pan? — odezwałem się, — nie można walczyć z ludźmi, rozporządzającymi mocami, jakich my nawet nazwać nie umiemy. Nie pozostaje nam nic innego, jak nazawsze zarzucić zasłonę na tę bolesną tajemnicę.

Mordownt musiał uznać słuszość mych słów, gdyż ruszyliśmy w milczeniu w powrotną drogę.

Na skraju torfowiska oczekiwał nas Folarstone i gorąco nam powińszował, że powróciliśmy bez szwanku z nad przekłętą przepaści Cri-Cri.

Opowiadanie moje jest skończone. Staralem

się przedstawić w niem wiarogodne jedynie fakty, oraz wrażenia naocznych świadków, przed oczyma których rozegrał się dramat rodziny Levis.

Czytelnik może sobie wytworzyć jasny sąd o całej sprawie, nie będę mu więc narzucał osobistych moich poglądów.

Tajemnice natury przerastają ludzkie pojęcia i ogromem swym wprawiają w zdumienie najsilniejsze umysły.

Tragiczny los generała Levis'a na długi czas wzburzył całą okolicę; wkrótce jednak nowe wrażenia zatarły w pamięci sąsiadów całą tę sprawę, i życie popłynęło zwykłym swoim trybem.

Gabrijela, która ciężko odchorowała śmierć swego ojca, jest już od kilku miesięcy moją ubóstwianą żoną.

Estera — jak się już pewnie domyślicie, piękne czytelniczki — podała swą rękę Mordowntowi na dalszą drogę życia.

Nad mogiłą mistress Levis, która nie zdołała znieść straszliwego ciosu, chwieją się smutne brzozy, szemrzając ciche słowa ukojenia.

.....

Samotny krzyż nad złowrogą przepaścią Cri-Cri, wskazuje tragiczne miejsce spoczynku dwóch nieszczęśliwych ludzi, których wspólny, fatalny los prześladował za życia

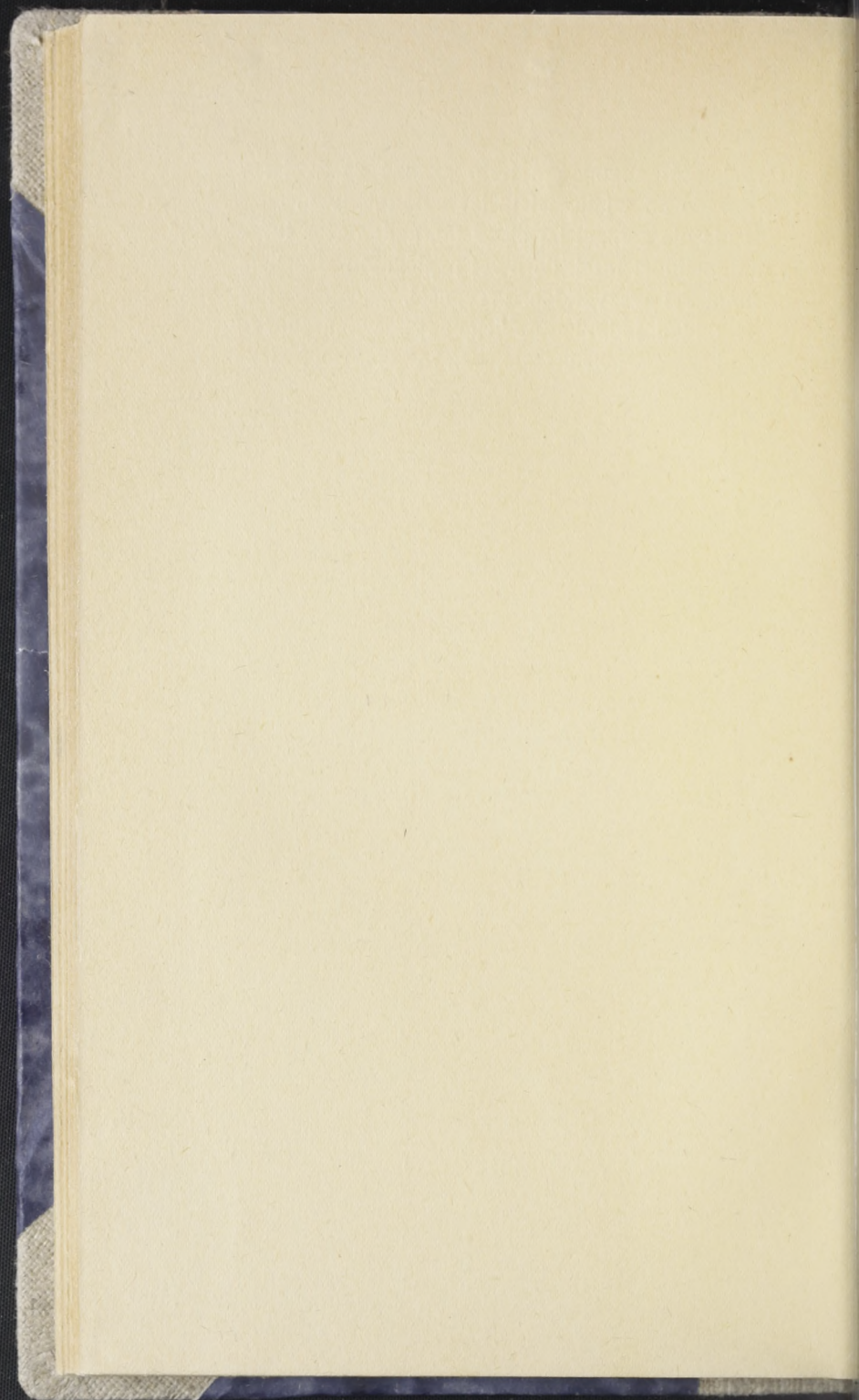
Tam, pod gładką powierzchnią niezgłębionej przepaści znaleźli wreszcie teraz spokój i ciszę,

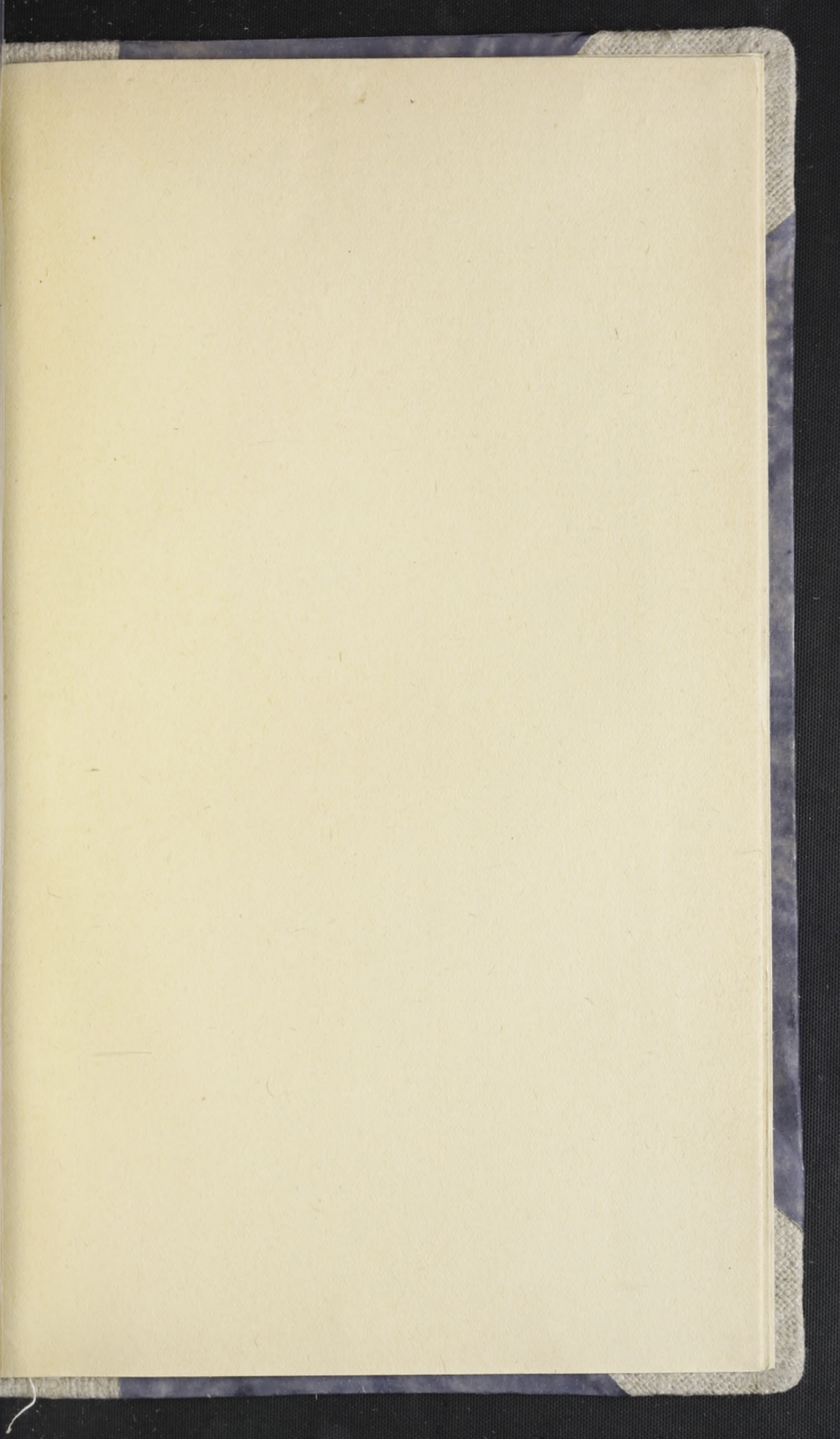
których nie sądzono im było zaznać za życia, a tak gorąco od wielu, wielu lat upragnionych.

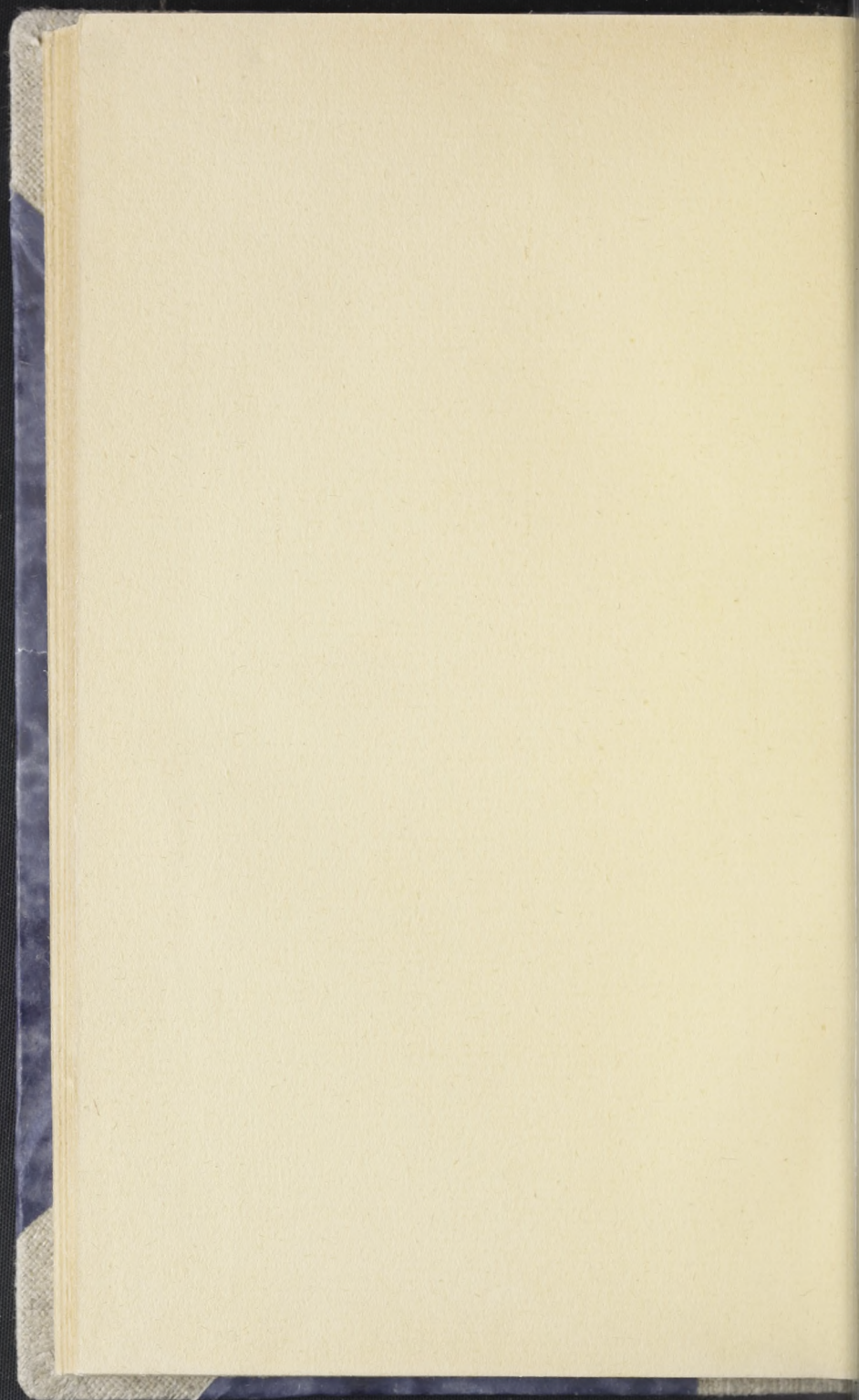
I nic nie zamięci im ciszy tej, żaden głos ludzki nie dochodzi tutaj, do owej panicznym strachem przejmującej wszystkich, przepaści.

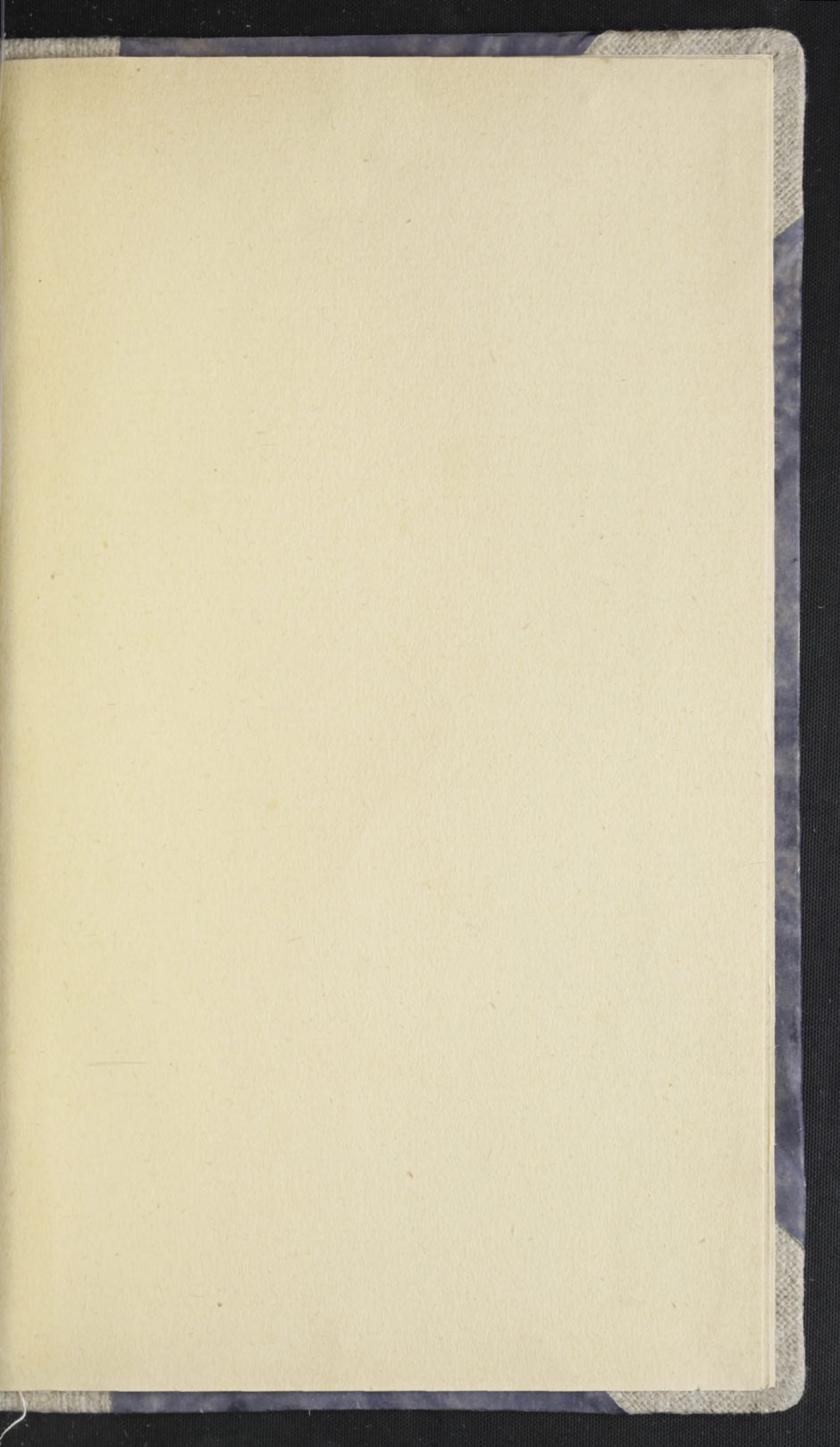
Z oddali jedynie dobiega ryk wzburzonego morza i szum wichru, szalejącego w ciemne, jesienne noce.

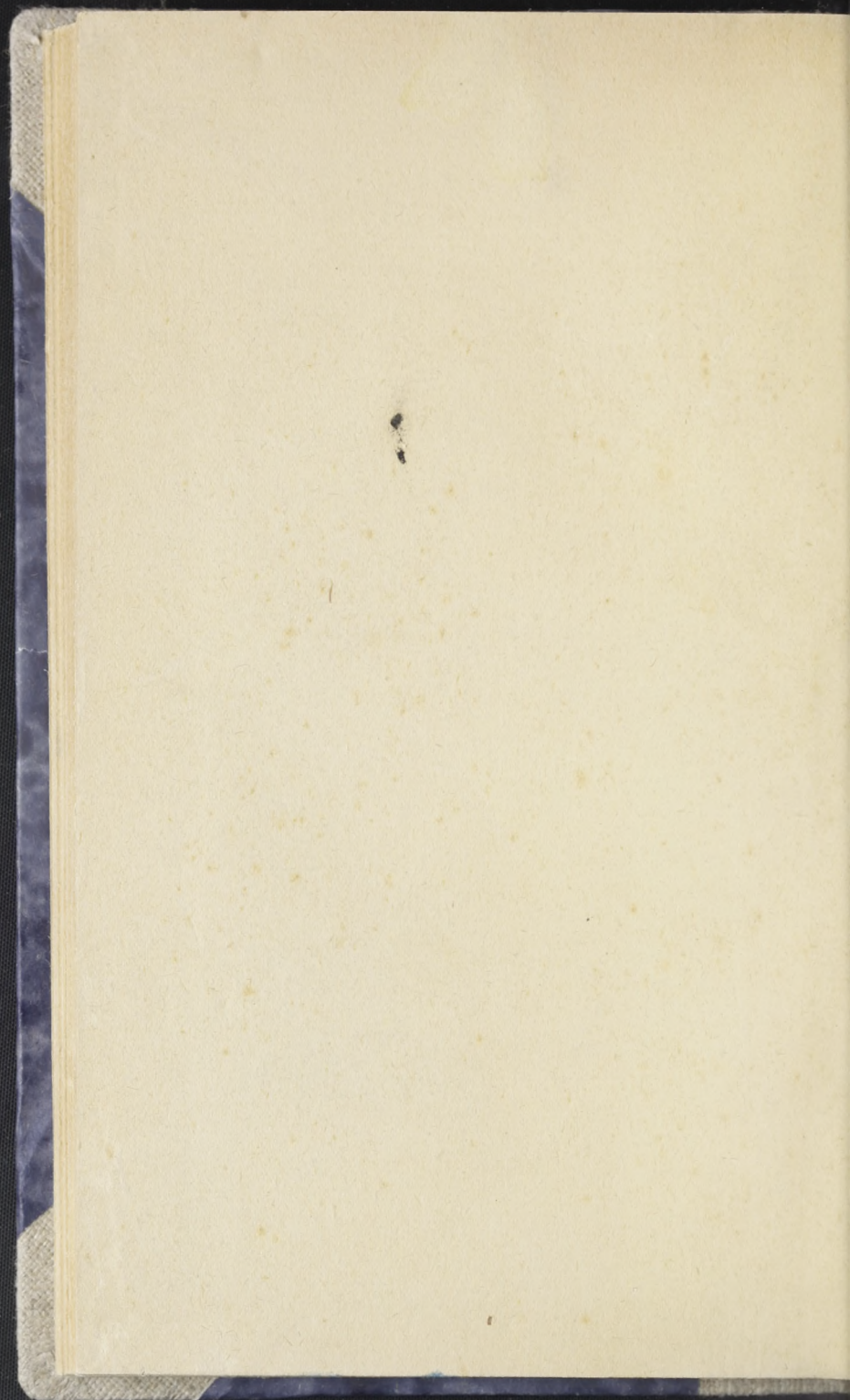


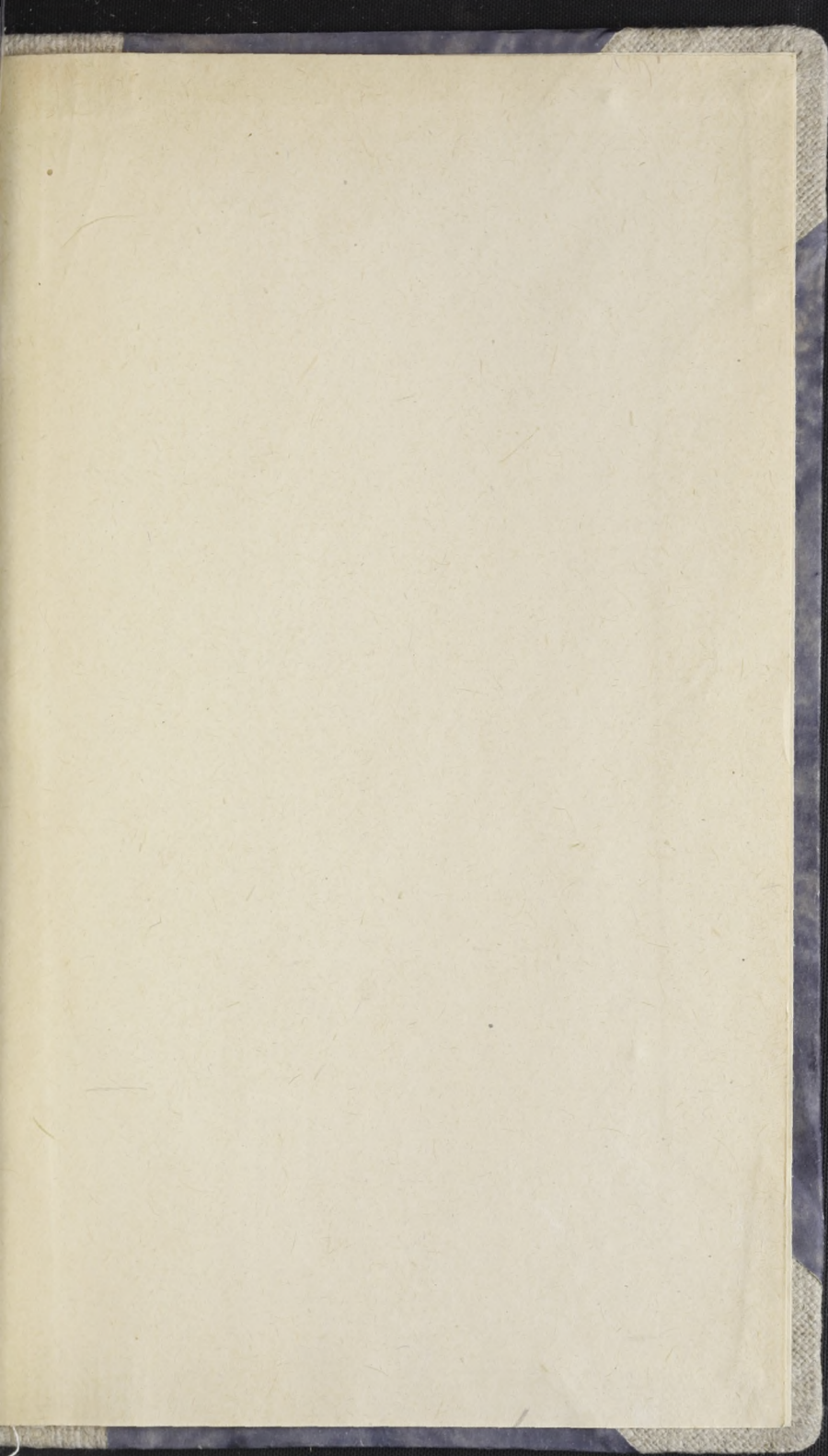


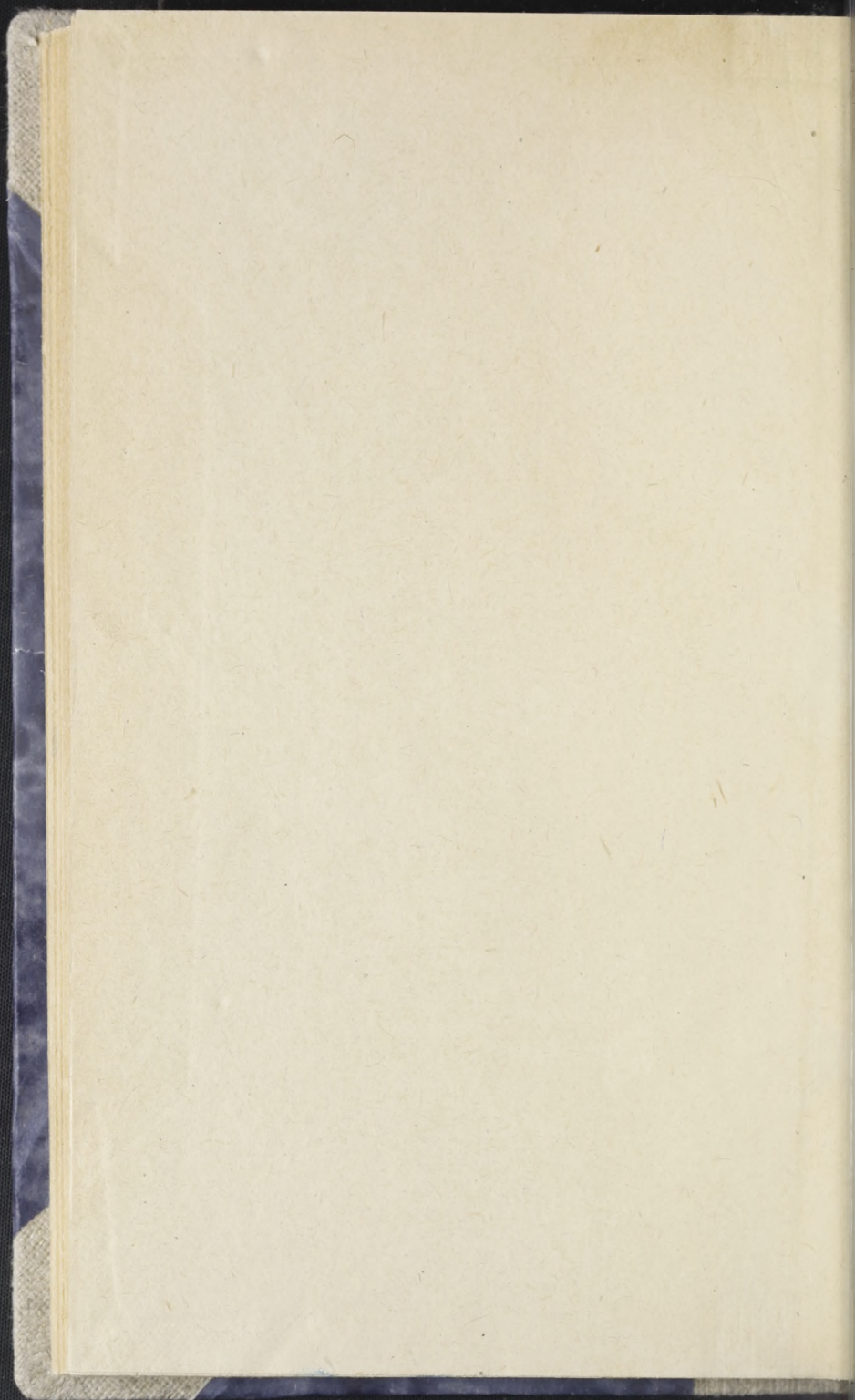












Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001023357288



610590